◆ ARKADY FIEDLER ◆ MARIA RZEUSKA ◆ MICHAŁ SAŁTYKOW-SZCZEDRIN ◆ WŁADYSŁAW TOMCZYK ◆

ODRODZENIE

TYGODNIK

Redakcja: Daszyńskiego 16
Administracja: Daszyńskiego 14
Cena 25 zł

Rok VI | Warszawa, dnia 22 maja 1949 r. | Nr 21 (234)

LEON KRUCZKOWSKI

TEMATY AMERYKAŃSKIE (III)

Kultura w systemie dolara

Wspominałem już w jednym z poprzednich rozdziałów tej relacji, że idea obrony pokoju budzi dziś szczególnie żywy oddźwięk w tych środowiskach społeczeństwa USA, które określamy mianem intelektualistycznych: wśród pracowników nauki, kultury i sztuki. Wspomniałem również, że środowiska te zdają sobie sprawę z niebezpieczeństwa regresji społeczno-moralnej i kulturalnej, jakie grozi wewnętrznemu życiu Stanów Zjednoczonych ze strony obozu imperialistycznego i jego coraz brutalniejszej polityki. Nadmieniłem wreszcie, że antywojenne i antyimperialistyczne stanowisko przeważającej części tych środowisk wynika w pewnym stopniu również z położenia, w jakim one znalazły się dzisiaj wraz z całym życiem kulturalnym USA.

Jakież to jest położenie? Jak wyglądają sprawy kultury w systemie „amerykanizmu", w systemie dolara?

Trzeba przypomnieć, że zagadnienia kultury nigdy nie odgrywały w Stanach Zjednoczonych takiej roli, jak w większości krajów europejskich, nie mówiąc już o tak doniosłej, jaką odgrywają dziś w Związku Radzieckim. Troskę o ten odcinek życia, która gdzie indziej od dawna stała się udziałem państwa i instytucji społecznych, w USA pozostawiono albo prywatnej ofiarności, jeśli chodzi o zupełnie „deficytowe", albo prywatnym przedsiębiorcom, jeśli chodzi o mniej lub więcej rentowne dziedziny produkcji kulturalnej. W tym wielkim i bogatym kraju budżet państwowy nie przewiduje żadnych wydatków na utrzymanie instytucji kulturalnych czy opiekę nad twórcami w zakresie nauki i sztuki. Uniwersytety są prywatne (prócz kilku drugorzędnych „stanowych"), nieliczne teatry a raczej imprezy teatralne (bo stałych teatrów w sensie europejskim nie ma wcale) — wyłącznie prywatne wydawnictwa, film, radio — tylko w rękach ludzi interesu. To są fakty na ogół znane, mniej znana jest ich „oficjalna" motywacja.

Dlaczego w USA państwo nie łoży na naukę i sztukę? Ponieważ nauka i sztuka mają być „wolne", „niezależne". Jest to ten rodzaj wolności, przy którym najskuteczniej sprzedaje się i kupuje: talenty, wiedzę, sumienia, dusze ludzkie. Tylko ten rodzaj „wolności" mieści się w systemie dolara, w społeczeństwie opartym na władzy pieniądza.

Jest jednak pewien wyjątek: z władz państwowych USA tylko wojsko i Departament Wojny mają prawo subwencjonować „cele kulturalne", a mianowicie prace badawcze uczonych, oczywiście prace badawcze w dziedzinach z militarnego punktu widzenia interesujących. Tak się objawia „mecenat" państwa nad kulturą — w kraju „prawdziwej wolności i demokracji". I tak daleko może sięgać potęga cynizmu.

Roosevelt próbował dokonać wyłomu w tej zasadzie, powołał za swoich rządów specjalny Departament Projektowania i Administracji w dziedzinie kultury, w budżecie państwowym znalazły się sumy na instytucje naukowe, na teatry, filharmonie, na stypendia dla uczonych i artystów. Jego następca lekką ręką, zaraz po objęciu urzędowania, skasował Departament i przekreślił jego budżet. Tym się tłumaczy sentyment, jaki wyczuwaliśmy w słowach intelektualistów nowojorskich, kiedy mówili o Roosevelcie, tym się tłumaczy aż nadto uzasadniona ich antypatia do Trumana i całej ery „trumanowskiej".

Tym — oraz niepokojem na widok rosnącego terroru politycznego i moralnego, kierującego się dziś w Stanach Zjednoczonych w głównej bodaj mierze przeciw postępowym środowiskom intelektualnym. Niektórzy z uczonych, z którymi, po linii swoich zainteresowań naukowych, pragnął się zetknąć prof. Ossowski, z zażenowaniem przepraszali go telefonicznie, że — niestety — mimo wielkiej ochoty obawiają się nawiązywać kontakt z kolegą spoza „żelaznej kurtyny". Wspominałem już o wycofaniu się, w ostatniej chwili, z komitetu organizacyjnego konferencji nowojorskiej kilku „ostrożniejszych" osobistości, nastraszonych nagonką prasową. A w przeddzień naszego wyjazdu do kraju zlikwidowany został ostatni liberalny dziennikarz prasy nowojorskiej, redaktor „New York Post" Thackrey; usunęła go ze stanowiska jego własna żona, właścicielka wydawnictwa, rozumiejąca, że tylko zmiana orientacji politycznej pisma uchroni je od bankructwa.

Bywają i inne wypadki. Prof. Harlow Shapley, główny organizator i przewodniczący konferencji nowojorskiej, jest światowej sławy astronomem. Nawiasem mówiąc, podziwialiśmy łatwość, z jaką ten przedstawiciel nauki, uchodzącej za najbardziej oderwaną od praktycznego życia, umiał nawiązywać kontakt z „masą", nieraz już pierwszym zdaniem „chwytając" wielotysięczne audytorium; nie on jeden zresztą, ta „komunikatywność" z tłumem jest uderzająco charakterystycznym rysem większości amerykańskich intelektualistów, w zupełnym przeciwieństwie do ich kolegów w Europie. Ale nie o to mi chodzi w tej chwili. Prof. Shapley od dłuższego czasu zabiegał o fundusze dla rozbudowy swojego obserwatorium. W USA prowadzi do tego tylko jedna droga: przez siedziby zarządów i rad nadzorczych wielkich koncernów, banków, przez pałace magnatów kapitału. Prof. Shapley wszczął odpowiednie kroki i w pewnym momencie sprawa znalazła się w fazie zupełnie realnych rozmów, operowano już cyframi i terminami. Aliści w tym właśnie czasie zawiązał się komitet organizacyjny konferencji nowojorskiej, Shapley stanął na jego czele. I wówczas okazało się, że znakomity astronom chciał za wiele naraz: i pieniędzy na rozwój pracy naukowej — i akcji w obronie pokoju. Prostym ludziom wydaje się wprawdzie, że obie te sprawy łączą się ściśle, uzupełniają i przenikają wzajemnie. Ale w oczach amerykańskich magnatów kapitału rzecz wygląda zupełnie inaczej; daleko zaawansowane rozmowy o dotacji dla instytutu Shapleya zawisły nagle w powietrzu. Teleskopy to piękne przyrządy, przypominają lufy dział... Na teleskopy znalazłyby się pieniądze, ale — nie dla astronoma, który się angażuje w akcję obrony pokoju! Albo jedno albo drugie. Shapley wybrał drugie, ale na razie musi zrezygnować z pięknych planów rozbudowy swej placówki naukowej.

Jeśli tak w USA stoją sprawy na odcinku nauki o gwiazdach, cóż dopiero mówić o innych, bardziej związanych z powszednim życiem, bardziej oddziaływujących na świadomość „szarego" człowieka dziedzinach pracy i twórczości kulturalnej?

Prasa i radio? Monstrualne przedsiębiorstwa reklamowo-ogłoszeniowe, z nieznacznym marginesem informacyjnym i „kulturalno"-rozrywkowym. Niedzielny numer „New York Times" ma 200 stron objętości, ale w tym ponad 150 stron ogłoszeń i dużo „kroniki towarzyskiej" z licznymi fotografiami świeżo zaręczonych par narzeczeńskich albo „debiutujących" towarzysko panienek „z dobrych domów". W programach radiowych słucha się muzyki w krótkich przerwach między biegnącymi nieustannie, jak na taśmie, sloganami reklamującymi patentowane szelki, pastę do zębów czy napój „coca-cola". USA jest bowiem krajem odwróconych funkcji: my przywykliśmy zarabiać, aby żyć — tam żyje się, aby zarabiać lub gromadzić zyski. Tej zasadzie podporządkowane są w USA wszystkie produktywne czynności ludzkie: wyrabianie szelek jest ważniejsze od twórczości literackiej, reklama proszku DDT ważniejsza od muzyki, a całostronicowe ogłoszenie samochodów Chryslera — ważniejsze od najlepszego felietonu.

Literatura? W księgarniach nowojorskich nabywać można grube książki-podręczniki w rodzaju: „Jak napisać i s p r z e d a ć powieść?", poradnik napisany przez Jack Woodforda, „wybitnego" (jak głosi opaska) pisarza amerykańskiego... Istnieją w USA specjalne „instytuty", które podejmują się „przerabiania" najbardziej grafomańskich płodów na atrakcyjne w sensie handlowym, tzn. odpowiadające przyjętemu standartowi, „dzieła literackie". Oczywiście, nazwiska „pisarzy", którzy wyłaniają się z tych osobliwych, mistyfikacyjnych procederów, nie mają nic wspólnego z autentyczną literaturą amerykańską, reprezentowaną przez Fastów, Caldwellów, Steinbecków. Ale co uderza w tej grupie prawdziwych, wybitnych pisarzy amerykańskich, to ich biografie. Częściej niż w jakimkolwiek innym kraju zdarzają się wśród nich ludzie, którzy stosunkowo w późnym wieku doszli do literatury, mając za sobą długie lata ciężkiego życia i pracy w przygodnych, wciąż zmienianych zawodach: robotników portowych, pomywaczy i kelnerów w restauracjach, szoferów, agentów handlowych. Stosunkowo mniej wśród nich — typowych intelektualistów, od wczesnej młodości świadomych swej drogi. Częściej, zdaje się, niż gdzie indziej motywem dojścia do literatury bywa w USA uporczywe szukanie „dżobu" (zajęcia zarobkowego) — właśnie owo „Jak napisać i sprzedać powieść?" Być może, w biografiach samych pisarzy należałoby szukać jednej z przyczyn brutalnego, naturalistycznego autentyzmu współczesnej literatury amerykańskiej, jej skłonności do obnażania całej zropiałej prawdy „amerykanizmu".

Mógłby ktoś zadać pytanie: jak się to dzieje, że w kraju, w którym przemysł wydawniczy jest bez reszty w rękach przedsiębiorców kapitalistycznych — ukazują się książki, tak ponuro obrazujące życie amerykańskie, tak jaskrawo demaskujące gnicie ustrojowe, jak dzieła Caldwella czy Steinbecka, nie mówiąc już o klasowo-rewolucyjnych powieściach np. Howarda Fasta? Czyżby to miało być dowodem sławionej „wolności" amerykańskiej, liberalizmu i tolerancji w dziedzinie myśli i słowa drukowanego? Trudno byłoby to pogodzić z innymi, represyjnej natury zjawiskami dzisiejszego życia amerykańskiego, chociażby z tymi, które się ujawniły w związku z nowojorską konferencją w obronie pokoju.

Myślę, że sprawa jest o wiele prostsza. Pozorny „liberalizm" jest wyrazem wewnętrznych sprzeczności ustroju, w danym wypadku sprzeczności między interesem ideologicznym burżuazji jako klasy a bezpośrednim gospodarczym interesem poszczególnych kapitalistów, w danym wypadku firm wydawniczych. Ten drugi ma dla ustroju tak zasadnicze znaczenie, że — do pewnej granicy, oczywiście! — gotowa jest respektować go nawet władza państwowa, upostaciowana w takiej czy innej formie cenzury. Rzecz jasna, tę granicę „tolerancji", granicę „liberalizmu", wyznacza każdorazowy układ sił klasowych i stopień napięcia walki klasowej. Stany Zjednoczone ewolują gwałtownie w kierunku zacieśniania tej granicy. Powieści Howarda Fasta należą dziś do „best-sellerów", ale jutro, ku indywidualnemu żalowi ich wydawcy, mogą w ogóle zniknąć z amerykańskiego rynku, tak jak zniknęły już z niego przekłady z literatury radzieckiej.

Zresztą, interes polityczno-ideologiczny burżuazji amerykańskiej jako klasy jest na odcinku literatury skutecznie ochraniany z innej jeszcze strony. O masowości czytelnictwa w USA można mówić tylko w tej mierze, w jakiej jest ono zaspokajane przez niezliczoną ilość „magazynów", ilustrowanych tygodników, karmiących głównie niewybrednym reportażem, kryminalistyką, sportem i pornografią. Stara zasada klasycznej ekonomii, mówiąca, że „zły pieniądz wypiera dobry", na swój sposób działa również w dziedzinie kultury (dla ścisłości: kultury w społeczeństwie kapitalistycznym!): zła literatura wypiera dobrą. Ze zdumieniem dowiedzieliśmy się od kolegów-pisarzy amerykańskich pewnych danych o rynku wydawniczym w USA. Kiedy na spotkaniu z nimi, mówiąc o życiu literackim w Polsce dzisiejszej, wspomniałem o wysokości nakładów naszych książek, rozległy się oklaski. Przyjąłem je jako wyraz uprzejmej kurtuazji, okazało się jednak, że było w nich coś więcej. Okazało się, że w Stanach Zjednoczonych norma nakładu jednego wydania przeciętnie dobrej powieści wynosi 5—10 tysięcy, a nakład 50 tysięcy kwalifikuje już książkę do kategorii „best-sellerów". Nie zapominajmy, że chodzi o bogaty kraj z ludnością 140 milionów i o książki pisane w języku angielskim, co oznacza ogromne możliwości eksportowe. I otóż tę samą mniej więcej normę nakładów powieści mamy dziś w 24-milionowej Polsce (bez żadnych możliwości eksportowych), a nasz zeszłoroczny „best-seller", „Stare i nowe" Rudnickiego, rozszedł się w ciągu paru miesięcy w 115 tysiącach egzemplarzy. Oklaski, o których wspomniałem, były po prostu uznaniem faktu, że zrujnowana wojną i okupacją Polska w dziedzinie produkcji wartościowych książek nie tylko nie ustępuje potężnym Stanom Zjednoczonym, ale je — relatywnie biorąc — dziś już w wielu wypadkach prześciga.

Porównywalność sytuacji kończy się jednak, gdy z terenu literatury przejdziemy w dziedzinę teatru. To co nazywa się życiem teatralnym w USA, jest bodaj tak niepodobne do stosunków europejskich, jak musujący napój „coca-cola" do szampana. Zacznijmy od stolicy. Waszyngton, metropolia wielkiego mocarstwa, miasto o milionowej ludności, miasto inteligencko-urzędnicze, z ogromnym korpusem dyplomatycznym, nie ma ani jednego teatru, nie posiada własnej opery. Owszem, jest filharmonia, ale działa jedynie przez trzy miesiące w roku, przez pozostałe dziewięć miesięcy zarząd jej zbiera składki i datki wśród zamożnych mieszkańców stolicy, potrzebne dla uruchomienia następnego trzymiesięcznego „sezonu". Jak nauka, tak i sztuka w USA uzależniona jest całkowicie albo od przedsiębiorców, albo od ofiarności zamożnych „ludzi dobrej woli". Nieliczne teatry w Nowym Jorku czy w Los Angeles nie są stałymi instytucjami, jak teatry europejskie. Przedsiębiorca teatralny angażuje zespół do określonej sztuki, oczywiście rokującej wielkie kasowe powodzenie, wynajmuje salę, organizuje — rzecz prosta — olbrzymią reklamę, interes działa przez rok, dwa, trzy, po czym rozwiązuje się i przestaje istnieć raz na zawsze. Przedsiębiorca szuka nowej sztuki do eksploatacji i nowych aktorów, aktorzy — nowego przedsiębiorcy. W rezultacie bezrobocie wśród aktorów, wzmożone jeszcze poważnym kryzysem w filmie, sięga dziś 80%. Jest to, zdaje się, najbardziej rozpaczliwy odcinek życia artystycznego w USA, po krótkim okresie rooseveltowskim, kiedy zaczynały się wyłaniać inne, mniej kapitalistyczne formy organizacyjne teatru amerykańskiego, bardziej stabilizowane, mniej zależne od zasady rentowności, więcej nastawione na właściwe cele kulturalno-artystyczne. Zostały pono z tamtych czasów w Nowym Jorku dwa małe teatrzyki, z największym wysiłkiem prowadzone dotąd przez grupy aktorów-zapaleńców.

Co jest przyczyną tego stanu rzeczy? W głównej bodaj mierze konkurencja filmu — dodajmy, złego, seryjnego filmu hollywoodzkiego. W kategoriach zjawisk amerykańskich, w kategoriach systemu dolara, sprawa jest zupełnie prosta. Film to potężny przemysł, wielka i skomplikowana produkcja techniczna o najbardziej masowej skali konsumenta, o światowym zasięgu eksportowym — teatr to „chałupnictwo", miniaturowa skala zasięgu zarówno w sensie socjalnym, jak i geograficznym. Stosunek mniej więcej taki, jak między wartościową książką a dziesiątkami ilustrowanych „magazynów". Film amerykański, poza bardzo rzadkimi wyjątkami, świadomie wyjałowiony z wartości ideowo-artystycznych, z z a s a d y nie bywa dziełem sztuki — teatr amerykański, gdyby istniał w postaci stałych zespołów i placówek, mógłby nie ustępować teatrom europejskim, zwłaszcza, że operowałby tym samym mniej więcej, wartościowym, w znacznym mierze klasycznym repertuarem. Zwyciężyła dynamika ustrojowa, wielkokapitalistyczny przemysł filmowy zabił w USA „chałupnicze" życie teatralne, zabił więcej, bo kulturę teatralną.

Spotykałem ludzi skłonnych do wyciągania szerszych wniosków z faktów i zjawisk w rodzaju wyżej opisanych. Twierdzą oni, że Stany Zjednoczone są pustynią kulturalną, monstrualnym krajem, w którym ustrój kapitalistyczny w swej najpełniejszej, „naidoskonalszej", tzn. najbrutalniejszej postaci znalazł się w nieprzejednanym konflikcie z rozwojem kultury narodowej: podporządkował ją bez reszty niemal mechanizmowi „byznesu" i władztwu pieniądza, uzależnił jej losy prawie całkowicie albo od interesu handlowego albo od filantropii (co w tym kraju na jedno wychodzi!) klasy społecznej, której cała filozofia życiowa streszcza się w gromadzeniu zysków oraz w obronie systemu, który gromadzenie zysków umożliwia.

Świadomość tego faktu dojrzewa coraz bardziej w środowiskach przodującej inteligencji amerykańskiej — i ona to przede wszystkim czyni ją rosnącym sprzymierzeńcem mas ludowych USA, każe jej walczyć z dyskryminacją rasową i podnoszącym głowę amerykańskim faszyzmem, każe jej wreszcie, wszczynać walkę z podżegaczami wojennymi w samym niejako centrum ich zbrodniczej działalności i wzmacniać w ten sposób światowy front pokoju w jednym z jego najtrudniejszych, tzn. najważniejszych ogniw.

Leon Kruczkowski

MALARSTWO AMERYKAŃSKIE

Max Weber — Spokój

Max Weber — Zimowy zmierzch

Max Weber — W młynie

FESTIWAL MUZYKI LUDOWEJ

WŁADYSŁAW TOMCZYK

Przeciw dwudziestemu wiekowi

Książka Avro Manhattana „Kościół katolicki przeciw XX wiekowi" („The Catholic Church against the Twentieth Century") ukazała się po raz pierwszy w Londynie w 1947 r. Autor — co słuszne będzie zaznaczyć na wstępie — nie jest wojującym ateistą, nie zwalcza ani dogmatów wiary katolickiej ani uczuć religijnych ludzi wierzących. Nie jest marksistą.

W książce swej Manhattan zamierzył przedstawić stosunki, jakie łączyły Stolicę Apostolską z większością państw Europy, Azji i Ameryki w pierwszej połowie bieżącego stulecia, oraz rolę, jaką odegrała polityka Kościoła katolickiego zarówno w kształtowaniu się polityki międzynarodowej, jak i w układzie spraw wewnętrznych poszczególnych państw.

Manhattan nie jest historykiem, socjologiem czy ekonomistą; jest publicystą o bystrym, choć może nie głęboko sięgającym spojrzeniu i ciętym piórze. Interesują go nie prawa rządzące rozwojem społecznym lecz zdarzenia. W bogatej zaś kanwie wypadków historycznych naszego stulecia uwagę pisarza absorbuje przede wszystkim potworny kataklizm rozpętanej przez faszyzm drugiej wojny światowej wraz z wieloletnim, ciągnącym się bodajże od zakończenia pierwszej wojny okresem narastania nastrojów wojennych. Dlatego — po wstępnych rozdziałach poświęconych rozważaniu istoty państwa watykańskiego jako podmiotu prawa międzynarodowego a zarazem jako organizacji ponadpaństwowej, aspirującej do „rządu dusz"— Manhattan rozpoczyna przegląd wydarzeń ostatnich dziesięcioleci od ogólnej analizy polityki watykańskiej w okresie między pierwszą a drugą wojną światową.

POLITYKA WATYKANU W OKRESIE MIĘDZYWOJENNYM

Dziewiętnastowieczny liberalizm, domagający się sekularyzacji życia społecznego i rozdziału kościoła od państwa, ustąpił miejsca nowej ideologii głoszącej hasła rewolucji społecznej, gospodarczej i politycznej. Zdaniem Manhattana pierwsza wojna światowa spowodowała nagłe i bardzo szerokie rozprzestrzenienie się ideologii socjalistycznej wśród milionów ludzi, wyrwanych z dotychczasowego spokojnego trybu życia i rzuconych bądź do okopów, bądź do fabryk i zakładów przemysłowych. Kościół — zwłaszcza po zwycięskiej rewolucji rosyjskiej 1917 r.— poczuł się poważnie zagrożony, po pierwsze dlatego, że od samego początku zwalczał idee socjalizmu, po drugie dlatego, że zawsze pozostawał w zażyłej przyjaźni z naturalnymi wrogami socjalistycznego ustroju — z ziemiaństwem, wielkim przemysłem i w ogóle z tymi sferami, które broniły konserwatyzmu. Toteż Kościół widział przed sobą jedną tylko drogę:

„poparcia i ścisłego sojuszu z każdym rokującym powodzenie ruchem politycznym, który mógł dać rękojmię zniszczenia socjalizmu, utrzymania status quo, a przede wszystkim szacunku i uprzywilejowanej pozycji Kościoła". (str. 75) *).

Stąd dążenie do zjednoczenia wszystkich sił i wszystkich państw „w jeden trwały blok skierowany przeciwko Związkowi Radzieckiemu".

„Jednym z głównych powodów popierania Hitlera przez Watykan — obok dążenia do zniszczenia komunizmu w Niemczech — było pragnieniem stworzenia silnego i nieprzyjaźnie usposobionego mocarstwa, które mogłoby odegrać rolę chińskiego muru, zabezpieczającego Zachód przed przenikaniem rosyjskiego bolszewizmu" (str. 80).

Manhattan nie zamierza jednak ferować wyroków, chce dać szeroką panoramę faktów, z których czytelnik sam winien wyciągnąć odpowiednie wnioski. Dlatego zastrzega się, że wojna mogłaby wybuchnąć, gdyby nawet Kościół katolicki nie istniał w ogóle albo zachował się neutralnie lub nawet wrogo w stosunku do rodzącego się i rosnącego w siły faszyzmu.

„Z drugiej strony jednak nie ulega wątpliwości, że pośrednia czy bezpośrednia pomoc, jakiej Kościół katolicki był w stanie udzielić w momentach krytycznych państwom faszystowskim, znakomicie przyśpieszyła proces przeobrażenia się Europy w kontynent faszystowski i wybuch drugiej wojny światowej" (str. 80).

Fakty i dokumenty przytaczane przez Manhattana w dalszych rozdziałach, traktujących o Hiszpanii, Włoszech, Niemczech przed-i pohitlerowskich (stosunkom watykańsko-niemieckim autor poświęca prawie czwartą część swej książki o Austrii, Czechosłowacji, Polsce i Francji) wykazują jasno, że Watykan przez swoich przedstawicieli i za pośrednictwem miejscowej hierarchii kościelnej nie tylko opowiadał się po stronie sił reakcyjnych, ale aktywnie im pomagał w dławieniu ruchów postępowych. Manhattan wskazuje przy tym na niezwykle — powiedzmy delikatnie — elastyczną politykę Watykanu wobec wiernych. W jednym kraju np. nakazywała Stolica Apostolska posłuszeństwo istniejącemu dyktatorskiemu rządowi, który krwawo ogniem armatnim rozprawiał się z ruchem robotniczym (Austria), w drugim zaś podżegała do jawnego buntu przeciw legalnej władzy (Hiszpania). W Polsce Kościół budził skrajnie szowinistyczne uczucia katolików-Polaków przeciw innowierczym mniejszościom: ukraińskiej i białoruskiej, natomiast w Austrii i Słowacji nie wahał się zachęcać wierzących katolików (Seys-Inquart), ba — nawet dostojników kościelnych (Mgr. Tiso) do zdrady narodowej, do porozumiewania się z hitlerowskim agresorem.

WATYKAN I TRZECIA RZESZA

Bez wątpienia najbardziej charakterystyczna jest polityka Watykanu w stosunku do Trzeciej Rzeszy. Tym ciekawsza dla polskiego czytelnika, że w fazie bezpośrednio poprzedzającej wybuch drugiej wojny światowej zahacza o żywotne interesy Polski.

Manhattan wskazuje, że katolik von Papen przekonał prezydenta Hindenburga o konieczności powierzenia Hitlerowi stanowiska kanclerza. Przemawiając przed katolickim audytorium w Kolonii (w listopadzie 1933 r.) Papen z dumą oświadczył:

„Opatrzność przeznaczyła mnie do tego, by oddać istotne usługi przy powstaniu rządu odrodzenia narodowego" (str. 181).

W rozmowie z Hitlerem w pierwszych dniach stycznia 1939 r. Papen zapewnił go o poparciu Watykanu. Ceną poparcia było: likwidacja komunistycznej i socjalistycznej lewicy oraz zawarcie konkordatu. Hitler oba warunki wypełnił. Watykan był również — bodaj aż nadto — lojalnym kontrahentem: nie tylko zachęcał niemieckich katolików do głosowania w wyborach 1933 r. na hitlerowców, ale polecił przywódcom katolickiego centrum, prałatowi Kaasowi i exkanclerzowi Bruningowi, przeprowadzić samolikwidację tego jednego z najstarszych niemieckich stronnictw politycznych. Dnia 5 lipca 1933 r. centrum ogłosiło deklarację o dobrowolnym rozwiązaniu partii „w porozumieniu z kanclerzem Hitlerem". W półoficjalnym oświadczeniu Watykan odpowiadał na nieśmiałe krytyki i protesty kół katolickich:

„Stanowisko rządu kanclerza Hitlera w przedmiocie eliminacji partii katolickiej zbiega się z pragnieniem Watykanu, by zaprzestać działalności partyjno-politycznej i ograniczyć czynne zainteresowanie katolików do akcji katolickiej, organizacji pozostającej poza ramami stronnictwa politycznego" (str. 187).

Niemiecka hierarchia kościelna posłusznie zastosowała się do wskazań płynących ze Stolicy Apostolskiej. Kardynał Faulhaber oświadczył:

„W epoce liberalizmu proklamowano prawo jednostki do ułożenia swego życia według własnego upodobania; dziś władcy (Hitler) wzywają jednostki do podporządkowania się wymogom interesów ogółu. Oświadczamy, że jesteśmy gorącymi zwolennikami tej doktryny..." (str. 188).

Konkordat podpisany latem 1933 r. był bardzo dla Watykanu korzystny. Kościół katolicki w nowym układzie stosunków widział realizację najistotniejszych celów swej polityki: usunięcie ustroju republikańskiego, utworzenie władzy absolutnej, ścisłą współpracę między kościołem a rządem w kraju, którego większość ludności stanowili protestanci. Jak bardzo cenił sobie Kościół te osiągnięcia, dowodzi fakt, że pomimo wielokrotnych pogwałceń konkordatu przez Hitlera, pomimo głośnych procesów i wyroków na księży i zakonników (głośna sprawa przestępstw walutowych), pomimo krępowania prasy katolickiej itd. — ani Watykan ani niemiecka hierarchia kościelna nie wyrzekły słowa potępienia pod adresem reżimu. Stolica Apostolska zdobyła się jedynie na słowa ubolewania z powodu ograniczania życia katolickiego w Niemczech oraz na protesty z powodu upośledzenia prasy katolickiej, która — jak się wyraził późniejszy papież Pius XII, podówczas jeszcze sekretarz stanu, kardynał Pacelli:

„napotyka na przeszkody w swej apostolskiej walce przeciw komunizmowi" (str. 197).

Z biegiem lat tego rodzaju wypowiedzi mnożyły się w Niemczech coraz bardziej. Jednakże kierowano je przeciw hitlerowcom — a nie przeciw hitleryzmowi!

„Nie były to protesty — pisze Manhattan — przeciw monstrualnej koncepcji nazizmu, przeciw jego polityczno-społecznemu ustrojowi; przeciw obozom koncentracyjnym; przeciw prześladowaniom liberałów, demokratów, socjalistów, komunistów czy Żydów. Nie było protestów z powodu utraty niepodległości przez Austrię i Czechosłowację ani z powodu napaści na Polskę, najazdu na Danię, Belgię, Holandię, Francję, ataku na Rosję — ani z powodu tego wszystkiego, co nazizm wyrządził światu. Kościół protestował wtedy tylko, gdy w grę wchodziły jego duchowe lub materialne interesy" (str. 201).

NAJAZD NA POLSKĘ

„Papież został powiadomiony o wojennych planach Hitlera najazdu na Polskę" (str. 207). Manhattan opowiada, że pod koniec kwietnia 1939 r. papież otrzymał poufny raport od nuncjusza w Berlinie. Odpowiedzi udzielił odręcznym pismem, by nikt nie znał jej treści. Od tej chwili, w miesiącach maju i czerwcu Watykan rozwija gorączkową działalność dyplomatyczną: krzyżuje się korespondencja z nuncjatorami w Berlinie, Warszawie i Paryżu; różni ambasadorowie, w szczególności przedstawiciele dyplomatyczni Niemiec, Włoch, Francji i Polski, niezwykle często odwiedzają nie tylko kardynała sekretarza stanu, ale i papieża.

Zdaniem Manhattana Hitler zawiadomił papieża, że dla przeprowadzenia ataku na Związek Radziecki nieodzowne jest okupowanie Polski. Miało być rzeczą dyplomacji watykańskiej skłonić Polskę najpierw do ustępstw w sprawie Gdańska, a następnie do współdziałania w napaści na Rosję. Gdyby się ten manewr nie udał, Hitler domagał się zapewnienia, że papież nie tylko nie potępi inwazji na Polskę, lecz wezwie polskich katolików do wzięcia udziału w „krucjacie" przeciw Związkowi Radzieckiemu.

Pius XII stanął przed niezwykle trudnym dylematem. Z jednej strony realizacja planów układanych od zakończenia pierwszej wojny światowej: zniszczenie Związku Radzieckiego z perspektywą likwidacji komunizmu na całym świecie, oraz możliwość wchłonięcia cerkwi prawosławnej przez Kościół. Z drugiej strony — katolicka Polska rządzona po dyktatorsku i utrzymująca bardzo przyjazne stosunki ze Stolicą Apostolską. Było rzeczą jasną, że opór Polski doprowadzi do wojny, która niezawodnie stanie się wojną światową.

Papież zdecydował się na interwencję dyplomatyczną, proponowaną przez Hitlera. Wysunął jednak trzy zastrzeżenia:

1) Stolica Apostolska będzie miała prawo wystąpić w odpowiednim czasie z inicjatywą pokojową,

2) jeśli Polski nie da się skłonić do przyjęcia propozycji hitlerowskich i okupacja kraju będzie konieczna — Niemcy nie będą prześladować katolików-Polaków za stawianie oporu, zachowają przywileje Kościoła w Polsce i w miarę możności ustanowią jak najłagodniejszy reżim okupacyjny.

3) rozmowy watykańsko-niemieckie w sprawie inwazji na Rosję nie zostaną ujawnione.

Hitler akceptował warunki papieża. Ze swej strony Watykan

„za pośrednictwem kardynała Hlonda począł naciskać na rząd polski i wszczął też odpowiednią akcję we francuskich kołach katolickich, by w wypadku, gdy sprawy wezmą zły obrót, Francja powstrzymała się od wypowiedzenia wojny Rzeszy. Zabiegi te spełzły na niczym nie z braku dobrej woli u papieża, lecz z powodu nieustępliwości Hitlera, który zdecydował się na podbój Polski bez względu na to, czy przyjmie czy też odrzuci jego warunki" (str. 209).

Papież dotrzymał jednak przyrzeczenia danego Hitlerowi:

„Jak w latach poprzednich w sprawie Austrii i Czechosłowacji, tak i w sprawie polskiej — zamiast podnieść przed całym światem głos protestu z powodu napaści na Polskę, papież pozostał niemy" (str. 210).

WATYKAN I POLSKA

Niesposób w krótkim przeglądzie streścić bogatą w materiał faktyczny i dokumentarny książkę Manhattana. Nie można jednak pominąć naświetlenia stosunków polsko-watykańskich.

Mniejsza o to, że Manhattan uważając Polaków za najbardziej katolicki naród w Europie, określa katolicyzm polski jako „ślepy fanatyzm i dewocyjną nabożność", że stwierdza, iż:

„Nawet w najbardziej zacofanych wioskach Chile czy Peru trudno o publiczne przykłady większej gorliwości religijnej od tych, z jakimi spotkać się można na ulicach większych miast polskich (ob. Revue des deux Mondes — luty 1933 r.).

Pozwolimy sobie w oparciu o lepszą znajomość postępowych antyklerykalnych tradycji naszej wsi i naszego proletariatu uważać inaczej. Natomiast bezsprzecznie rację ma Manhattan, kiedy pisze, że:

„Tę przesadną nabożność w niemniejszym stopniu spotykamy i wśród wyższych klas społecznych, które z momentem odzyskania niepodległości (po pierwszej wojnie światowej, przyp. nasz) — stały się najbardziej oddanymi stronnikami Watykanu zarówno w kwestiach społecznych, jak i politycznych. Interesy tych reakcjonistów zbiegały się z interesami Kościoła katolickiego. Kamieniem węgielnym, na którym opierali swą politykę — była zaciekła nienawiść do Rosji jako państwa i bodaj jeszcze większa — do Rosji jako ośrodka bolszewizmu. W tej mierze Polska reakcja i Kościół katolicki były z sobą w najzupełniejszej zgodzie. Chociaż więc Polska miała dostateczne powody, by w odradzających się Niemczech widzieć groźbę dla własnej niepodległości, koncentrowała całą swoją wrogość na drugim sąsiedzie" (str. 292 i 293.).

W zagadnieniach polityki wewnętrznej polskiej reakcji chodziło — jak pisze Manhattan:

„o wieczyste utrzymanie społecznego status quo, społecznej pozycji wielkiego ziemiaństwa, o „spolszczenie" wszystkich innych narodowości, a nawrócenie na katolicyzm wszystkich tych, co nie wyznawali prawdziwej wiary.

Polityka ta miała cel praktyczny: zapobiec rozszerzeniu się komunizmu, jeśli możliwe — zdławić go, zgnębić wszystkie mniejszości narodowe, w szczególności Ukraińców, i porobić z nich „Polaków", wykorzeniając zarazem obrządek wschodni i zaprowadzając katolicyzm" (str. 293).

Manhattan stwierdza, że koła rządzące młodym państwem polskim rychło zapomniały o długich latach ucisku w czasie rozbiorów i poczęły „marzyć o ekspansji terytorialnej kosztem Związku Radzieckiego".

Manhattan nie wdaje się w szerszą analizę niesławnej pamięci „wyprawy kijowskiej". Podkreśla jednak stałą i potęgującą się wrogość reakcji polskiej do ZSRR:

„W 1925 r. rząd radziecki wzbronił przedstawicielowi Stolicy Apostolskiej wjazdu do kraju. Z tą chwilą watykańska propaganda rozpętała w całym świecie kampanię wymierzoną przeciw „sowieckim okrucieństwom antyreligijnym". W tej akcji szermowano argumentem, że wielu duchownych katolickich zostało wtrąconych do więzień i rozstrzelanych przez władze radzieckie; nigdy jednak propaganda katolicka nie ujawniła faktu, że wszyscy ci duchowni zostali skazani nie z racji swego wyznania, lecz z tego tylko powodu, iż byli na usługach rządu polskiego, który nie ustawał w prowadzeniu roboty spiskowej przeciw „ateistycznemu sąsiadowi"

Zawiedziony w planach rozbicia Związku Radzieckiego rząd polski zaczął stosować politykę eksterminacyjną w stosunku do tych żywiołów, które mogłyby być posądzone o sprzyjanie ideałom rewolucyjnym:

„Demokracja, liberalizm, socjalizm i komunizm — były jednakowo znienawidzone przez polską reakcję i Kościół katolicki. Polscy lewicowcy w pierwszych latach Rzeczypospolitej byli głęboko oburzeni i zrażeni tyrańskim postępowaniem rządu, a w szczególności gwałtami dokonywanymi na przedstawicielach mniejszości narodowych i prześladowaniami religijnymi, jakich dopuszczali się katoliccy reakcjoniści. W 1923 roku oddziały wojskowe otworzyły ogień na zebrany przed katedrą grecko-katolicką we Lwowie tłum, demonstrujący przeciw uciskowi religijnemu. Wówczas posłowie socjalistyczni podnieśli gromki głos protestu w Sejmie i Senacie. Protesty socjalistów zaniepokoiły katolickie koła reakcyjne i Kościół, budząc obawy o skuteczne przeprowadzenie zamierzonych planów. Postanowiono zaradzić złu: pewnego dnia Piłsudski przy gorącym poparciu Watykanu i polskiej hierarchii kościelnej położył kres rządom parlamentarnym, uwięził przedstawicieli lewicy, zatarł doszczętnie wszelkie ślady demokracji i swobód obywatelskich, zaprowadzając swoje rządy dyktatorskie. W ten sposób katolicka Polska, jako jeden z pierwszych krajów europejskich po pierwszej wojnie światowej, stała się państwem dyktatorskim". (str. 295 i 296).

W parze z eksterminacją żywiołów lewicowych szła polityka wyraźnego ucisku narodowościowego w stosunku do mniejszości, przede wszystkim w stosunku do Ukraińców. Manhattan podaje, że w 1930 roku przebywało w więzieniach 200.000 Ukraińców. Przedstawiano ich na arenie międzynarodowej jako „buntowników" nie tylko dlatego, że nie chcieli się wyrzec swych narodowych odrębności, lecz i dlatego, że odmawiali porzucenia swej wiary. „Nacisk wyznaniowy Watykanu — pisze Manhattan — był znacznie silniejszy niż presja sił politycznych czy szowinistycznych".

Polityka polskich kół rządzących nie odpowiadała realnej sytuacji Polski na arenie międzynarodowej:

„Sytuacja Polski w okresie międzywojennym, z czym zgodzić się musiał każdy bezstronny obserwator — była drażliwa i tylko taka polityka, która miała na celu interesy całego narodu — polityka wolna od jakichkolwiek ideologicznych czy religijnych uprzedzeń — winna była przyświecać polskim mężom stanu. Gdy hitleryzm doszedł do władzy i gdy stało się jasne, do czego dążą hitlerowcy, montując ogromną machinę wojenną, ścisły sojusz z Rosją winien był stać się najpierwszą troską rządu polskiego, albowiem li tylko Rosja — z uwagi na położenie geograficzne Polski — mogła udzielić jej natychmiastowej pomocy w wypadku niemieckiego ataku.

Wbrew temu rząd polski prowadził politykę wręcz przeciwną — politykę nienawiści do Rosji i ścisłej przyjaźni z hitleryzmem". (str. 298).

. . . . . .

„Jeszcze przed Monachium Polska stała się miniaturą Trzeciej Rzeszy. Wzorując się na rozbójniczej polityce Hitlera, rząd polski począł głośno pobrzękiwać szabelką i powtarzając hitlerowskie slogany — zaczął domagać się „lebensraumu", naprzód w Europie, a później w Afryce; zażądał kolonii oświadczając, że jeśli ich nie dostanie dobrowolnie, to sam się o nie postara. Hitler w tym czasie składał podobne deklaracje; polskie żądania kolonii należało więc rozumieć w ten sposób, że skoro Hitler zdobędzie kolonie dla Niemców — Polska otrzyma udział w tej zdobyczy. Rządy polskie otwarcie natrząsały się z demokracji, a nawet posuwały się do gróźb pod adresem Związku Radzieckiego, dając niedwuznacznie do zrozumienia, że i w Rosji znajdzie się dostateczny „lebensraum" dla nadwyżki ludności polskiej i dostateczna ilość surowców potrzebnych polskiemu przemysłowi". (str. 299).

Zastanawiając się nad powodami, które doprowadziły Polskę do „przymierza z hitlerowcami", jak się w styczniu 1940 r. wyrazić miał b. minister Beck, Manhattan widzi je w wyżej scharakteryzowanych przyczynach wewnętrzno-politycznych oraz w polityce Watykanu i mocarstw zachodnich, „które stale żywiły nadzieję, że Hitler zwróci się przeciw Rosji".

W relacji do Mussoliniego z lutego 1940 r. ambasador włoski w Bukareszcie przytacza następujące słowa Becka, charakteryzujące politykę Polski przedwrześniowej:

„Watykan jest jednym z głównych winowajców tragedii, jaka spotkała moją ojczyznę. Zbyt późno zrozumiałem, że prowadziliśmy politykę zagraniczną w interesie Kościoła katolickiego. Powinniśmy byli dbać o przyjaźń ze Związkiem Radzieckim, a nie popierać Hitlera". (str. 300).

„Czy można dosadniej oskarżyć Kościół katolicki o szkodliwe wtrącanie się w żywotne sprawy nowoczesnego narodu?" — pyta Manhattan.

*

Książka Manhattana nie jest wolna od braków i wad. Przede wszystkim wytknąć należy autorowi skłonność do wyolbrzymiania roli Kościoła katolickiego jako samodzielnego czynnika politycznego. Autor zdaje się nie dostrzegać tych sił imperialistycznych, które zawsze warunkowały i dziś warunkują politykę Watykanu. Dla tych wszystkich jednak, którzy czują i rozumieją, że wiek XX jest wiekiem postępu społecznego, praca Manhattana stanowić będzie cenny przewodnik po krętych ścieżkach, jakimi kroczy światowa reakcja.

Władysław Tomczyk

*) Cytowane według wydania drugiego z r. 1948.

HENRYK SZYPER

W Warszawie zmarł po ciężkiej chorobie jeden z najbardziej zasłużonych pracowników na odcinku kultury i historii literatury, Henryk Szyper.

Henryk Szyper łączył w sobie wielką wiedzę, głęboką chęć sumiennego poznania tego co było cenne i postępowe w naszej kulturze — z niezwykłą prawością charakteru, serdecznością wobec ludzi, anielską często dobrocią. Skromny i cichy pomniejszał często sam swoje zasługi, pracując niezmordowanie nad sobą, świadomy swoich popełnianych błędów, wyzbyty zarozumialstwa i sobkostwa.

Puściźnie naukowej Henryka Szypera, jego życiu i pracy poświęci redakcja „Odrodzenia" osobne omówienia, składając tą notatką hołd nad świeżą mogiłą.

ZBIGNIEW STOLAREK

HAGIOGRAFIA ŚLEPCÓW czyli LASKA JEST BIAŁA

Śmiał się
i głową trząsł
że nie z piór
jest skrzydło anioła

Tak śmieje się
kto własną ręką dotknął
Więc wie

Och Kruche jest pióro
i słabe A przecież anioł
kiedy prowadzi przed
czerwonym szumem samochodu

mówił że biały jest anioł

Więc głową trząsł
i śmiał się niewidzącymi oczyma
że nie może być z piór
skrzydło anioła

Jeżeli jest białe
więc można nim się oprzeć
jest białe
i dlatego wpływa łagodnym łukiem do ręki
by palce mogły objąć
i dlatego
przedłużając dłoń
ostrzega przed niewidzianym
i dlatego
prowadzi

Więc śmiał się
że nie z piór

DZISIAJ MA SIEDEM LAT

Gdy głowę odwróci w tył
nie widzi nic
I nikt mu nawet nie opowie
że było tak:

Siedem lat temu
tatuś z bulwarów przyjechał
na kantach spodni
ach jak zaprasowanych

Piękne to były kanty
i tylko szur za Monikę
Złapała się Monika za serce
jak gdyby kant się w nie werżnął

O nic zaraz wiedziała że już zaczął żyć
Mały był jeszcze bardzo
jak źrenica
mniejszy nawet
był jak źrenica która się nie otworzy
by widzieć

A tatuś zaraz
w bulwary odjechał
na kantach pięknie zaprasowanych
równych
jak rzędy cyfr w roczniku statystycznym
pod rubryką
syfilis

Dzisiaj ma siedem lat

Wzdycha Monika
jak toto rośnie
znowu ubranie za ciasne
i kupić by też już trzeba
większą
białą laskę

Gdy głowę odwróci w tył
gdy głowę odwróci w przód
nie widzi nic

GRAJEK

Wystarczy że
harmonię rozciągnę
szeroko
od oka do oka
ślepego
I wtedy „róże
w purpurze" i innych kolorów wiele
ogląda harmonia

A wtedy ja
śmieję się głośno
aż łzy z oczu spływają
i zamykam harmonię

zamykam ją w pudle bez jednej nawet szpary
I róże przestają kwitnąć czerwono

Fresk Diego Rivery w Pałacu Narodowym w Meksyku: Targ na kukurydzę u starożytnych Indian

Fresk Diego Rivery w Pałacu Narodowym w Meksyku: Sadzenie kukurydzy

Kamienne posągi wojowników znalezione w Tulą

ARKADY FIEDLER

CHWAŁA INDIAŃSKIEJ PRZESZŁOŚCI

Kurier amerykański Sun Shine Special z Nowego Jorku do miasta Meksyku dopiero po przekroczeniu Missisippi pod St. Louis zasługiwał na swą nazwę: Zwrócił się na południe, ku słońcu. I od tego czasu szybko robiło się coraz cieplej. W stanie Missouri trzymał jeszcze tęgi, styczniowy mróz, w Arkansas było wciąż zimno, w północnym Teksasie już odwilż, w San Antonio wyraźny podmuch wiosny. Co kilka godzin jakiś gulliwerski przeskok temperatury o miesiąc. W Laredo palmy na ulicach, a gdy pociąg po przebyciu Rio Grande del Norte rozpędził się przez szeroki step północnego Meksyku, zwycięska, rozkielznana wiosna wdzierała się nawet do naszych zamkniętych hermetycznie Pullmanów.

Step meksykański był ponury, jałowy, szary, prawie bezludny i ogromny. Lecz od przodu, z dalekiego południa, szły wiatry coraz wonniejsze, słońce wzbijało się coraz śmielsze, i wraz z tym cieplem i z niebem coraz błękitniejszym przypływała do serca podróżnych silna, nieodparta fala otuchy i radości. Przecież w kraju takiego słońca wędrowiec z północy mógł spodziewać się doznania wielkich rzeczy. Słońca nie były jakiegoś: gdy je ongiś czczono jako najwyższego boga, narody na południe — Mayowie, Toltekowie, Aztekowie — pod twórczymi promieniami tegoż boga osiągały zadziwiający poziom cywilizacji.

W tym samym kierunku jak my dzisiaj w naszym Sun Shine Speciał wędrowały od niepamiętnych wieków hordy koczowniczych Indian. I prawie w tym samym celu co my, szukając słońca i życzliwszego klimatu i oczywiście żyźniejszej gleby, gdzieby osiąść. Gdy wdzierały się na południe na potężne płaskowzgórze, znajdowały tam upragnioną ziemię, lecz niestety już zajętą przez inne szczepy. Niektórym przybyszom udawało się przebrnąć przez tę żywą zaporę i idąc dalej, dotrzeć do krainy wysokich wulkanów z wiecznymi śniegami na szczytach i do dolin tak zielonych, że rajem wydać się mogły. Niestety napotykali tu na jeszcze gęstszą ludność, do tego wysoce cywilizowaną i wojowniczą, z którą przychodziło im podejmować ostateczną walkę.

Tych hord spływających z dzikiej północy było wiele: boje, jakie staczały z osiadłą ludnością, wypadały rozmaicie. Gdy kończyły się zwycięstwem koczowników, ginęły dotychczasowe cywilizacje i albo tworzyły się w ich miejsce nowe, przy udziale zwycięzców z północy, albo pozostawały po nich tylko zgliszcza i kamienne szczątki budzące, chociaż w ruinach, nasz dzisiejszy podziw. Urodzajne doliny dokoła meksykańskich wulkanów należały do owych rzadkich na ziemi ogniw geograficznych, które przyciągały ku sobie z nieodpartą siłą liczne ludy i w których krzewiły się bujnie ludzkie myśli i czyny. Od przeszło trzech tysięcy lat, w kilku różnych epokach, czerwony człowiek tworzył tu dzieła stanowiące szczyt tego, do czego zdolna była rasa czerwona, dzieła wielkie i nie gorsze w porównaniu z tym, co osiągały inne rasy, w Starym Świecie.

Dzisiejszy Meksyk pociąga przybysza mnóstwem zagadnień, jak rewolucją społeczną, reformą rolną, mozaiką ras ludzkich czy rozkwitem współczesnego malarstwa. Lecz najbardziej uderzającym zjawiskiem w tym kraju, czymś jedynym, zgoła fantastycznym, to kamienne ślady jego przeszłości: piramidy, ruiny, rzeźby, freski. Ich monumentalność i harmonia, ich groźna dynamika, mistrzowskie rozwiązywanie form, nieomylne poczucie piękna, piękna często upiornego, a poza tym ich wielka liczba, niespodziana mnogość zabytków w dolinach, w górach, w puszczach, zabytków odkrytych i na pół odkrytych — wszystko to musi wywrzeć niezatarte wrażenie i nastroić każdego do zadumy. Kim byli twórcy tych wspaniałych pomników, dlaczego kierowali się impulsami tak żarliwymi, co odczuwali? Pytania te pozostaną zapewne już na zawsze bez odpowiedzi, gdyż ostatnimi najeźdźcami byli tu Hiszpanie: ci w swej gorliwości chrześcijańskiej lepiej niż hordy z północy niszczyli wszelkie przejawy indiańskiej cywilizacji, nie przepuszczając również pogańskim skryptom i księgom. Jak potężnym uniesieniom podlegali czerwoni artyści, trudno nam dziś sobie wyobrazić, brak nam podstaw porównania. Lecz gdyby naszą dzisiejszą cywilizację zburzyła jakaś nagła katastrofa pokrywając wszystko popiołem niepamięci i gdyby dopiero po tysiącu lat zaczęto odkopywać dzisiejsze pomniki sztuki, czy nie wyglądałyby blado wobec zabytków Mayów i Tolteków, dziś odgrzebywanych w Meksyku?

Typowa rzeźba toltecka znaleziona w Teotihuacan — bogini wody lub księżyca

Z tą obfitością i przepychem meksykańskich wykopalisk dzisiejsi archeolodzy mają nielada ból głowy. Chcieliby ująć w jakiś system różne te ogniwa kultury, rozwiązać je prawem przyczynowym, dać naukowe wytłumaczenie tła, na którym powstały, a tymczasem nic z tego. Poza kilkoma elementarnymi wiadomościami reszta tonie w mrokach tajemnicy i legend, z których można tylko wysnuwać dowolne domysły. I wysnuwa się. W tym zamęcie babelowym, każdy archeolog wygłasza swe własne przypuszczenia, różniąc się często od innych nawet w najprostszych wnioskach.

Tuż pod samą stolicą, o niespełna 60 kilometrów na północny wschód, znajdują się zabytki archeologiczne, należące do najokazalszych w całej Ameryce: Teotihuacan. Istniało tu ongiś potężne miasto, po którym pozostały liczne ślady, a wśród nich dwie olbrzymie piramidy, przypuszczalnie poświęcone jedna słońcu, druga księżycowi, i poza tym trzecia piramida wzniesiona na cześć Quetzalcoatla, najpopularniejszego bóstwa w indiańskiej mitologii. Ponieważ Quetzalcoatl był bóstwem ludu Tolteków, którzy przywędrowali na płaskogórze meksykańskie w VI, VII albo VIII wieku po Chrystusie, archeolodzy wnieśli stąd, że Teotihuacan było miastem tolteckim, powstałym między VI a VIII wiekiem. Tak też podaje wybitny spec, H. J. Spinden, lecz inny wybitny spec ostatniej doby, Salvador Toscano, nic nie wspomina o tolteckim pochodzeniu Teotihuacanu, natomiast twierdzi (w zbiorowym dziele: Mexico y la Cultura), że miasto to istniało już na kilka wieków przed Chrystusem i zostało zburzone w IX wieku naszej ery, może przez Tolteków.

Podobne rozbieżności istnieją także co do niezwykłego zjawiska, jakim jest Quetzalcoatl, który był rzekomo człowiekiem i to królem Tolteków, tak wyjątkowym, że po śmierci przeszedł zaraz nie tylko do legendy, lecz i w poczet meksykańskich bogów. Kiedy żył Quetzalcoatl? Pod koniec XII wieku, według archeologa H. J. Spindena; w VIII lub IX wieku według historyka Hundson Strode'a. Gdy ktoś inny oświadczy, że Quetzalcoatl wcale nie żył, można przyjąć i takie twierdzenie.

Plakat reklamujący Coca Colę u stóp meksykańskich ruin

Bezsprzeczne jest, że wśród kilku szczepów o pewnym poziomie kulturalnym, więc Olmeków, Totonaków, Zapoteków, Tarasków, dwa narody wzniosły się na iście imponujące wyżyny: Mayowie i Toltekowie. Można do nich doliczyć i Azteków. Zasadniczym podłożem ich rozwoju było to, że Indianie ci, po przejściu lub w czasie przejścia z trybu życia koczowniczego na osiadły, odkryli i uszlachetnili roślinę, której uprawa pozwoliła im zaspokoić materialne potrzeby całego społeczeństwa z nadmiarem. Błogosławioną rośliną okazała się kukurydza, niewątpliwie jeden z najhojniejszych darów, jakie ludzkość zawdzięcza Indianom meksykańskim.

Historia Mayów, mieszkańców tropikalnych okolic Yukatanu, Guatemali i Hondurasu, zaczęła się przed przeszło dwoma i pół tysiącami lat, więc wtedy, gdy większość mieszkańców Europy chodziła jeszcze odziana w skóry dzikich zwierząt. Historia tych Indian wykazuje dwa wspaniałe wzloty, przypadające pierwszy na wieki V do VII, drugi na wieki XI do XIII naszej ery. O pierwszym rozkwicie twierdzi Stuart Chase (Mexico, a Study of Two Americas), że wówczas, w okresie od r. 450 do mniej więcej 600 roku po Chrystusie, Mayowie byli najbardziej ucywilizowanym narodem na świecie. Rządzili się mądrymi prawami, tworzyli arcydzieła w kamieniu, krzewili nauki. Ich rzeźby i inne twory uchodzą do dziś za najwyższe osiągnięcia sztuki wszechświatowej, a ich wiadomości astronomiczne wyprzedzały o wieki naukę europejską. Lecz gdy Hiszpanie przybyli na Yukatan w pierwszej połowie XVI wieku, zastali ich już w upadku a dawną wielkość przyćmioną na skutek długotrwałych wojen domowych.

Zgodnie ze stanem nauki współczesnej można uważać, że ów rozkwit kulturalny Mayów wybuchł samodzielnie, niby jakiś ustronny wulkan, rodząc się samorzutnie w amerykańskiej puszczy tropikalnej i rozwijając się nadal sam z siebie, bez odżywczego dopływu innych kultur, w przeciwieństwie do tego, co się działo w Starym Świecie. Tam w olbrzymim kompleksie euro-azjatycko-afrykańskim poszczególne ogniska cywilizacji mogły zapładniać się wzajemnie i uzupełniać, podczas gdy Mayowie stali sami bez niczyjej pomocy ni przykładu i tylko własnym geniuszem, tym bardziej godnym podziwu, tworzyli swą dziwną, tak odrębną kulturę.

Podczas mej podróży meksykańskiej w roku 1948 nie odwiedziłem niestety Yukatanu, lecz mimo to poznałem wielu Mayów w innych stronach Meksyku. Byli to ludzie przeważnie wykształceni, zupełnie nowocześni, niektórzy obeznani równie dobrze z Arystotelesem jak z Marksem. Na ogół Indianie meksykańscy są łagodni i nad wyraz uprzejmi, lecz prawie wszyscy z moich znajomych Mayów mieli więcej niż to: roztaczali dokoła siebie jakiś niewysłowiony, niespodziany urok. A przecież posiadali i dzisiejsze wykształcenie i światowe oszlifowanie. Zresztą twarze niektórych znajomych Mayów wprawiały mnie w cichy zachwyt: były jak gdyby najwierniejszymi kopiami płaskorzeźb wyciosanych w kamieniu półtora tysiąca lat temu.

Głowa wojownika-orła, charakterystyczna dla sztuki azteckiej

Wpływ kultury starożytnych Mayów sięgał daleko poza granice ich państwa i niezawodnie działał na Tolteków, gdy ci koczownicy przywędrowali z północy i zagnieździli się na płaskowzgórzu meksykańskim około VII wieku po Chrystusie. W krótkim stosunkowo czasie zdolny i zapobiegliwy ten naród nabrał sił i stworzył swą własną kulturę, może nie tak wytworną jak Mayów, za to dosadniejszą monumentalnością i szerokim rozmachem: Toltekowie pochodzili z północnych stepów. Teraz budowali okazałe miasta, pełne blasku, którego ślady pozostały w Teotihuacan, Tula, Cholula czy Xochicalco, przede wszystkim zaś Toltekowie zrodzili potęgę moralną, uzmysłowioną w ich bohaterze Quetzalcoatlu, bogu dobra i szlachetnych popędów. Pojęcie owego Quetzalcoatla przyjęło się wnet u innych szczepów, stało się wszechindiańskie, a w chwili gdy na początku XIII wieku państwo Tolteków uległo zagładzie pod naporem nowych przybyszów z północy, większość Indian na wyżynach była już kulturalnie stoltecyzowana. Nawet upadek polityczny Tolteków nie złamał ich wielkiego znaczenia: zwycięscy acz prymitywni koczownicy przyjmowali ich kulturę i nawet język, podczas gdy część uchodźców tolteckich zakładała dalej na południu nowe kwitnące ośrodki i, wdarłszy się na półwysep yukatański, widoczny wpływ wywierała nawet na samych Mayów: tak więc to samo ziarno kultury, które wyszło od Mayów, zbogacone po kilku wiekach i po przewędrowaniu kilku tysięcy kilometrów, wróciło do dawnej swej ojczyzny.

Jednym z licznych spadkobierców kultury tolteckiej na płaskowzgórzu był szczep Azteków znanych również pod mianem Meksykanów. Szczep przybył z północy późno, był stosunkowo nieliczny i ubogi, zadowolić się musiał niezajętą, mizerną wyspą na jeziorze Teskockim. Natomiast przewyższał inne plemiona zmysłem organizacyjnym, spartańską schludnością obyczajów i zapałem wojowniczości, oddając fanatyczną cześć bogowi wojny, krwiożerczemu Huichilopochtli. Owe przymioty sprawiły, że Aztekowie wnet zawojowali swych sąsiadów, następnie w niezliczonych wyprawach zdołali podbić dalsze plemiona i w niespełna dwustu latach, aż do przybycia Hiszpanów, zbudować olbrzymie państwo sięgające od morza do morza i otoczone mistycznym szacunkiem i grozą na całym prawie kontynencie. Aztekowie przyswajali sobie równocześnie wszystkie zdobycze kulturalne innych szczepów, czyniąc ze swej stolicy Tenochtitlan, istny cud świata. Gdy ją Hiszpanie zdobywali w 1519 roku, Tenochtitlan było wtedy większym miastem niż jakakolwiek stolica hiszpańska czy w ogóle europejska, o niedoścignionym w Hiszpanii przepychu architektonicznym i nagromadzeniu bogactw wszelkiego rodzaju, także sztuki.

Rzeźba Mayów: głowa, przedstawiająca prawdopodobnie Quetzalcoatla, charakterystycznie włożona między stylizowane paszczęki węża, pozycja wyrażająca symbol mądrości

Wszystkie państwa indiańskie o pewnej kulturze, jakie Hiszpanie zastali w Nowym Świecie, miały ustrój teokratyczny. Na czele tych społeczeństw, składających się z kilku warstw, stała liczna kasta kapłanów, liczna dlatego, że nie tylko była pośrednikiem między człowiekiem a bóstwami, lecz stanowiła w ogóle to co nazywamy potocznie inteligencją. Hiszpanie, natychmiast po orężnym zdobyciu Meksyku, wytoczyli kaście kapłanów najzaciętszą wojnę, tak skuteczną, że wytępili i kapłanów, i wraz z nimi wszelkie źródła, i większość dzieł kultury indiańskiej. Po wielkim rozkwicie narodów indiańskich pozostały zgliszcza i popioły, co się zaś przechowało do naszych czasów, to raczej przypadkiem, rzeczy z kamienia, ukryte przed okiem inkwizytora w ziemi czy w puszczy.

Rzeczy te, tak głęboko przejmujące każdego, który dziś przyjeżdża do Meksyku, posiadają nie tylko wymowę dzieł sztuki. Nabrały, dziwnym zrządzeniem losu, znaczenia politycznego. Piramidy, które tysiąc lat temu już przestały służyć człowiekowi, dziś odżyły nową treścią. W ciągu czterowiekowego letargu Indianin mógł co najwyżej czerpać z nich jakieś mgliste wspomnienia o wielkiej przeszłości. Lecz dopiero gdy nadszedł okres rozrachunku z białym najeźdźcą i gdy Indianin zaczął odgarniać ze swych barków brzemię czterowiekowej niewoli, dopiero teraz owe piramidy, posągi dumnych wojowników i rzeźby potężnych ongiś bóstw stały się znów ważne dla czerwonego człowieka. Napełniły go nową wiarą w siebie, pomogły mu wpoić sobie świadomość ludzkiej godności. Nie dziw, że sztuka po rewolucji 1910 roku tak często szukała natchnienia właśnie w tych dawnych czasach indiańskiej chwały.

Z Laredo pędzi Sun Shine Special przez meksykańskie stepy na żyzne południe i wiezie ludzi z północy. Inny Southerner z El Paso również wali co sił na południe z ludźmi z północy. Jeszcze inna Express Błyskawica z Nogales sunie w tym samym kierunku. Samochody ze Stanów Zjednoczonych dążą autostradą panamerykańską ku wyżynom meksykańskim.

Ci przybysze ze Stanów przywożą ze sobą dolary, gwar, uśmiech dobrosąsiedzki, nacisk dyplomatyczny, kapitał inwestycyjny, chęć wykupienia wszystkiego, chęć wyzyskania, głośny podziw dla sztuki — i raz po raz interwencję wojskową. Ci przybysze piją bezustannie Coca Colę i Orange Crush i każą wszystkim Meksykanom pić Coca Colę i Orange Crush — bien fria, dobrze chłodzone. Tysiące olbrzymich, krzykliwie czerwonych, radosnotwórczych plakatów każą pić Coca Cole i Orange Crush i czerwienią się u stóp Piramidy Słońca, na stokach Sierra Madre, obok starożytnych rzeźb, na skałach przymorskich w Acapulco, pod wulkanem Popocatepetl, na wszystkich ulicach Meksyku, na wszystkich drogach kraju od Rio Grande del Norte aż po Guatemalę: Tome Coca Cola bien fria! Orange Crush! Coca Cola! Orange Crush!! Coca Cola'''

Zawsze od północy przychodził do tego kraju najazd barbarzyńców.

Arkady Fiedler

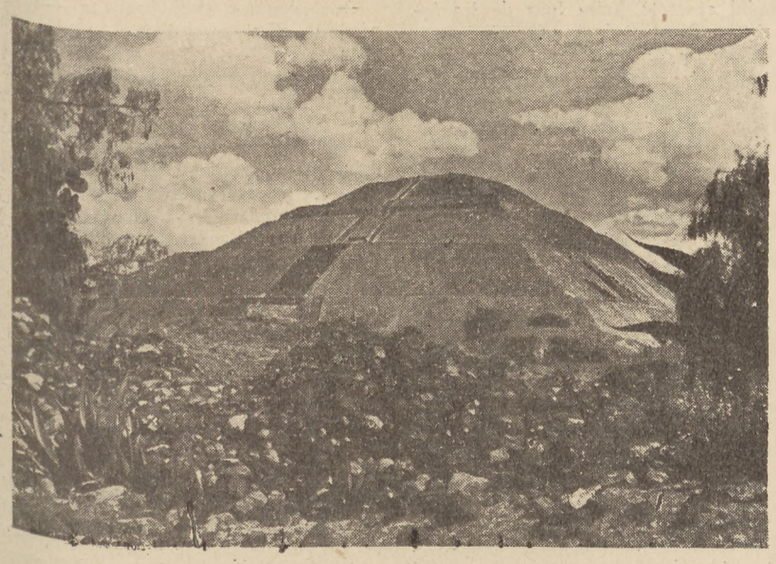

Teotihuacan — Piramida Słońca

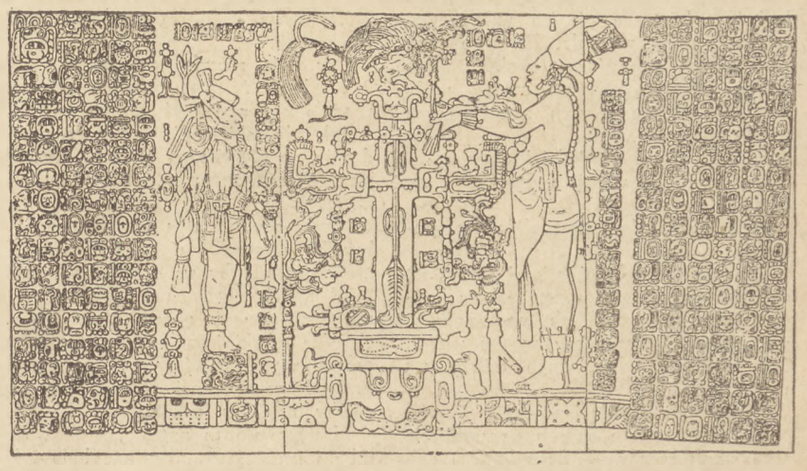

Płaskorzeźba w Palenque z symbolem krzyża i kapłanami, składającymi mu ofiarę

MICHAŁ SAŁTYKOW-SZCZEDRIN

PRZEMĄDRZAŁY KIEŁB

Michał Saltykow-Szczedrin (ur. 27 stycznia 1826 zm. 10 maja 1889) spędził dzieciństwo we wsi Spas-Ugol, w guberni Twerskiej, jednym z najbardziej zapadłych zakątków ówczesnej Rosji. Rodzice jego, których znakomite portrety nakreślił w dziele „Poszechońskie dawne czasy" — podobnie jak ich sąsiedzi — byli tyranami swoich poddanych, świętoszkami i pieniaczami. Kształcił się młody Szczedrin najpierw w Moskiewskim Instytucie Szlacheckim, później zaś w liceum w Carskim Siole. Jego młodość i literacki debiut przypada na okres, gdy krajem rządziło ziemiaństwo a carat był groźną siłą, decydującą nie tylko o losach Rosji, ale całej niemal Europy. U schyłku swych lat Szczedrin był świadkiem szybkiego rozwoju kapitalizmu w Rosji, pojawienia się nowej warstwy posiadającej: przemysłowej burżuazji w mieście i wzbogaconych chłopów na wsi. Protest chłopstwa przeciw wyzyskowi pańszczyźnianemu, a później kapitalistycznemu, zrodził ruchy wyzwoleńcze najpierw szlacheckich rewolucjonistów, później zaś rewolucyjnych demokratów, pochodzących przeważnie z inteligencji pracującej. Ogromną rolę w obu odegrali pisarze, wśród nich Saltykow-Szczedrin.

Wpływ na ukształtowanie światopoglądu młodego pisarza, wywarł najpierw wybitny krytyk rosyjski, Wissarion Bieliński, zaś potem udział jego w rewolucyjnym kółku Pietraszewskiego. Pod wpływem głoszonego przez te koła utopijnego socjalizmu Saltykow-Szczedrin pisze pierwsze swe utwory pt. „Sprzeczności", „Zawiła sprawa".

Rząd carski rozprawił się niezwłocznie z młodym pisarzem. Na rozkaz Mikołaja I został on zesłany do zapadłego miasteczka Wiatki. Spędził tu Saltykow 7 lat, podczas których nie napisał prawie niczego, przygnębiony izolacją od wszelkiej kulturalnej atmosfery. Częste rozjazdy po pobliskich miasteczkach i wioskach posłużyły mu jednak później jako materiał dalszej twórczości.

Talent pisarski Szczedrina rozwinął się w pełni po powrocie z zesłania w „Szkicach gubernialnych", gdzie w sposób bezlitosny zdemaskował nie tylko biurokratyzm, ciążący nad ówczesną Rosją, ale i — w postaciach ziemian Łuzgina i Bujerakina, którym ich pompatyczne frazesy o oświacie dla ludu, humanizmie, i postępie, nie przeszkadzają zgoła w okrutnym wyzysku pańszczyźnianego chłopa — zaatakował nader ostro oportunistyczny liberalizm ziemian. „Gubernialne szkice" stanowią ważny etap w rozwoju pisarza, świadczą one, iż w tym okresie przezwyciężał on resztki trwających jeszcze w nim samym liberalistycznych iluzyj. W tym też okresie zbliżył się do Czernyszewskiego i przeszedł zdecydowanie do szeregów rewolucyjnej demokracji. W roku 1862 obejmuje redakcję pisma „Sowremiennik", bojowego organu rewolucyjnych demokratów. Pod wpływem Czernyszewskiego Szczedrin uświadomił sobie, że wyprowadzić Rosję na drogę swobody i postępu można jedynie przy pomocy rewolucji. Lata sześćdziesiąte i dalsze są okresem wszechstronnego rozwoju literackiej działalności Szczedrina. Po zamknięciu przez władze carskie „Sowremiennika" Szczedrin wraz z Niekrasowem zakładają nowe pismo „Otieczestwiennyje Zapiski". Od roku 1878 Szczedrin jest odpowiedzialnym redaktorem tego pisma. Szczyt ostrości i artystycznej plastyki osiągnęła satyra Szczedrina w serii alegorycznych szkiców „Historia pewnego miasta", gdzie nakreślił portrety władców miasta Głupowa. Jeden z nich Borodawkin, wsławił się tym, że „dowodził w kampanii przeciw niedbałym płatnikom podatków, przy czym spalił 33 wsie i dzięki tym środkom uzyskał sumę wysokości pół trzecia rubla". Pieriechwat — Zalichwacki odznaczył się tym, że „wjechał do Głupowa na białym koniu, spalił gimnazjum i zawiesił nauki". Najbardziej barwnym z bohaterów był starosta Brudasty, którego głowa miała kształt skrzynki, gdzie się znajdowały organki, wykonujące tylko dwie kompozycje, jedną pod tytułem „zniszczę was", a drugą „nie zniosę".

Po zniesieniu pańszczyzny w 1861 r. kiedy w kraju zaczął się szybko rozwijać kapitalizm, wielki satyryk skierował odień swej krytyki przeciwko nowym eksploatatorom. W książce „Życzliwe słowa" nakreślił szereg postaci kapitalistów (Razuwajewa, Kołupajewa), którzy zdobyli miliony dzięki wyzyskowi pracujących.

Nic dziwnego, że ten demaskator ustroju był ustawicznym celem carskiej cenzury. „Czego ze mną nie robiono — pisał Szczedrin — i wycinano i obcinano i przekręcano i całkiem konfiskowano i oświadczano publicznie, że jestem szkodnik, szkodnik, szkodnik". W tych warunkach Szczedrin zmuszony pisać alegorycznie, uciekał się do formy baśniowo-groteskowej. Umiał, jak nikt inny, uśpić czujność carskiej cenzury i przemycić swe idee do czytelnika. O tej jego umiejętności pisali współcześni w zbiorze „Rasswiet" (1885) co następuje: „Jak potrafi ten pisarz w oczach cenzury mówić społeczeństwu takie rzeczy, o których nie każdy odważy się szepnąć drugiemu na ucho, obawiając się bliskości żandarma, to jego sekret albo, ściślej mówiąc, sekret jego talentu".

Podczas swych podróży za granicę Szczedrin obserwując życie Europy, miał sposobność ocenić bardziej rozwinięte formy ustroju kapitalistycznego. W książce „Za granicą" dał bezlitosną krytykę burżuazyjnej demokracji zachodniej.

Był raz sobie kiełb. I ojciec i matka jego byli mądrzy; i tak i owak jakoś nienajgorzej sobie dożyli sędziwego wieku i nie trafili ani do polewki rybnej, ani też w paszczę szczupaka. I synowi to samo nakazali. „Uważaj synku—mówił stary kiełb umierając — jeżeli chcesz cieszyć się życiem, to miej oczy otwarte!"

A młody kiełb nie musiał chodzić po rozum do głowy. Zaczął ten rozum wytężać i widzi: gdzie się nie obróci — wszędzie grozi mu zguba. Wokoło w wodzie pływają wielkie ryby, a on jest najmniejszy ze wszystkich. Każda ryba może go połknąć, a on nikogo połknąć nie może. I nawet nie rozumie: po co miałby połykać? Rak może go szczypcami przekroić na pół, pchła wodna wpić się w grzbiet i zadręczyć na śmierć. Nawet krewniacy kiełbie, gdy zobaczą, że złowił komara, rzucają się całym stadem, aby go odebrać. Odbiorą i zaczynają bić się ze sobą, tylko na próżno komara rozszarpią.

A człowiek? — cóż to za obłudne stworzenie! i jakichże forteli nie wymyśli, aby tylko jemu, kiełbiowi przedwczesną śmierć zadać! I niewody, i sieci i więcierze i podrywki, a wreszcie... wędkę! Zdawałoby się, cóż może być głupszego od wędki? Nitka, na nitce haczyk, na haczyku — robak albo mucha... I to jak jeszcze nasadzone?... w najbardziej można by powiedzieć nienaturalnym położeniu! A tymczasem najwięcej kiełbi łapie się właśnie na wędkę!

Stary ojciec nieraz ostrzegał go przed wędką. „Przede wszystkim strzeż się wędki! — powiadał — gdyż choć to najgłupszy przyrząd, to przecie dla nas, kiełbi, co głupsze, to groźniejsze. Rzucają nam muchę, jakby nas chcieli przyhołubić, uczepisz się jej — a w musze śmierć siedzi!"

Opowiadał także stary, jak to pewnego razu o mało nie trafił do rybnej zupy. Łowiono je wtedy całą gromadą, na całą szerokość rzeki rozciągnięto niewód i, w ten sposób ze dwie wiorsty wleczono po dnie. Aż strach, ile wtedy ryb wpadło! I szczupaki, i okonie, i karpie, i płotki, i ślizie — poruszono nawet leniwe leszcze w rzecznym mule! A kiełbi tyle, że nawet nie zliczyć. I ile najadł się strachu on, stary kiełb, gdy go wlekli wzdłuż rzeki — tego ani w bajce opowiedzieć, ani piórem opisać. Czuje, że go wiozą, a dokąd — nie wie. Widzi, że obok z jednej strony ma szczupaka, z drugiej okonia; myśli: no, zaraz albo jeden, albo drugi go połknie, a te nawet nie próbują... „Ktoby tam wtedy, bracie, myślał o jedzeniu! Wszyscy o jednym myśleli: śmierć przyszła, a jak i dlaczego przyszła — tego nikt nie rozumie. Wreszcie ludzie ściągnęli końce niewodu, wywlekli go na brzeg i zaczęli wyrzucać ryby na trawę. Wtedy właśnie stary kiełb dowiedział się, co to jest rybna polewka. Trzepoce się po piasku coś czerwonego, szare obłoki unoszą się do góry, a żar jest taki, że kiełbiowi od razu zrobiło się słabo. I tak już bez wody aż mdli, a tu jeszcze przyczyniają... Słyszy kiełb, jak mówią—„ogniska". A na tym „ognisku" stoi coś czarnego, a w nim woda, jak w jeziorze w czasie burzy: kłębi się i kłębi. To jest „kocioł" — powiadają. A wreszcie zaczęli mówić: „wal ryby do kotła, ugotujemy rybną polewkę". I zaczęli nas rzucać. Co ciśnie rybak rybkę, to ta się z początku zanurzy, potem jak oszalała wyskoczy potem znów da nura i cichnie. Ano, spróbowała „rybnej polewki"! Walili, walili najpierw bez wyboru, a później jeden staruszek spojrzał na kiełbia i powiada: „co za korzyść z tego malca w polewce! niechaj sobie urośnie w rzece!" Wziął go pod skrzela i rzucił na szeroką wodę. A kiełb nie był głupi i jak się nie puści co sił do domu! Przybiegł, a jego kiełbica wygląda z nory na wpół żywa ze strachu...

No i cóż z tego! Ile się nie natłumaczył wtedy stary, co to jest rybna polewka i na czym polega, a jednak po dzień dzisiejszy, mało która ryba w rzece ma zdrowe pojęcie o tej zupie.

Ale on, kiełb-syn, doskonale zakarbował sobie w pamięci nauki kiełbia-ojca. Był to kiełb oświecony, umiarkowanie liberalny i bardzo dobrze rozumiał, że przeżyć życie — to nie mątewkę oblizać.

Trzeba mieć oczy otwarte na wszystko — powiedział sam do siebie — bo inaczej, jak nic można zginąć! I zaczął żyć, jak Pan Bóg przykazał. Przede wszystkim obmyślił sobie taką norę, ażeby sam mógł się do niej dostać, a nikt inny tam wleźć nie mógł. Drążył nosem tę norę przez cały rok i ile się strachu przez ten czas najadł, nocując to w mule, to pod wodnym łopianem, to znów pomiędzy osobami. Wreszcie jednak wydrążył znakomitą norę. Czystą, akuratną — właśnie wygodną tylko dla jednej osoby. Po drugie, jeśli chodzi o tryb życia, to postanowił tak: w nocy, gdy ludzie, zwierzęta, ptaki i ryby śpią — będzie odbywał przechadzkę, a w dzień — będzie siedział w norze i drżał. Ponieważ jednak, pomimo wszystko trzeba jeść i pić, a pensji kiełb nie otrzymuje i służby nie ma, to będzie wybiegał z nory koło południa, gdy wszystkie ryby są już syte i da Bóg, że może jednego z drugim robaczka sobie upoluje. A jeśli nie upoluje, to legnie w norze, przymierając głodem i znów będzie drżał. Gdyż lepiej nie jeść i nie pić, niż z sytym żołądkiem stracić życie.

Tak też postępował. W nocy odbywał przechadzkę, kąpał się w księżycowym blasku, a w dzień właził do nory i spał. Tylko w południe wybiegał, aby cokolwiek pochwycić — ale co tam w południe upoluje. W tym czasie i komary chowają się pod liście od upału, i robaczki kryją się pod korą. Nałykał się wody — i tyle!

Leży sobie całymi dniami w norze, nocy nie dosypia, kęsa nie dojada i ciągle drży: „zdaje się, że żyję? ach, cóż to będzie jutro?"

Zdarzało się, że zadrzemie i śni mu się, że ma bilet na loterię i że wygrał na niego dwieście tysięcy. Tracąc przytomność z zachwytu przewraca się na drugi bok, patrzy — a tu mu już wysunęło się z nory całe pół pyska... a, gdyby tak w tym czasie szczupaczek w pobliżu się znalazł! Przecież by go wyciągnął z nory!

Pewnego razu obudził się i widzi, że naprzeciw jego nory stoi rak. Stoi nieruchomo, jakby zaczarowany, wytrzeszczając na niego kościane oczy. Tylko wąsy poruszają mu się z prądem wody. Najadł się też kiełb wtedy strachu! Całe pół dnia, póki się nie ściemniło, ów rak na niego czyhał. A kiełb tymczasem wciąż drżał, wciąż drżał.

Innym razem zaledwie zdążył przed świtem wrócić do nory, zaledwie słodko ziewnął w przedsmaku snu—patrzy, a tu ni stąd ni zowąd przy samej norze stoi szczupak i szczęka zębami. I też przez cały dzień czyhał na kiełbia, jak gdyby sycił się samym jego widokiem. A kiełb i szczupaka nabrał: nie wylazł z nory i tyle.

I nie raz, i nie dwa mu się to zdarzało — prawie że co dzień. I codziennie drżąc przezwyciężał przeciwności i osiągał zwycięstwa. Codziennie wykrzykiwał: „dzięki ci, Panie! żyję!"

Ale nie dość na tym: nie ożenił się i nie miał dzieci, choć ojciec jego miał dużą rodzinę. Rozumował w ten sposób: ojcu lekko było wyżyć, w tamtych czasach i szczupaki były lepsze, i okonie na nas, drobne rybki, nie patrzały pożądliwie. A choć pewnego razu ojciec trafił nawet do rybnej zupy, to i wtedy znalazł się staruszek, który go wyzwolił! A dziś, gdy ryby w rzekach się przerzedziły, to nawet kiełbie poszły w cenę. Tak, że co tu myśleć o rodzinie, byle tylko samemu przeżyć!

I przeżył w ten sposób mądry kiełb przeszło sto lat. Wciąż drżał, wciąż drżał. Nie miał ani przyjaciół, ani krewnych; ani on do nikogo — ani nikt do niego. W karty nie gra, nie pije, papierosów nie pali, za dziewczętami się nie włóczy — wciąż tylko drży i o jednym myśli: dzięki Bogu, zdaje się, że żyję!

Nawet szczupaki wreszcie zaczęły go chwalić: „o, proszę, gdyby tak wszyscy żyli, to w rzece byłby naprawdę spokój!" Ale mówiły to nasumyślnie; myślały, że słysząc pochwałę zamelduje się — o proszę, jestem! A wtedy one go cap! Ale on i na ten kawał nie dał się nabrać i jeszcze raz swą mądrością zwyciężył knowania wrogów.

„Ile minęło lat po stu latach — nie wiadomo, ale nadszedł dla mądrego kiełbia czas, gdy musiał umrzeć. Leży w norze i myśli: „Dzięki Bogu umieram własną śmiercią, tak samo, jak umarła moja matka i jak umarł ojciec". I przypomniały mu się przy tym słowa szczupaka: gdyby też tak wszyscy żyli, jak ten mądry kiełb... I doprawdy, coby wtedy było?"

Zaczął wytężać rozum, po który nie musiał chodzić do głowy, i naraz jakby mu ktoś szepnął: „bodajże właśnie w ten sposób cały ród kiełbi zczezł z tego świata"!

Bo przecież dla przedłużenia kiełbiego rodu potrzebna jest koniecznie rodzina, a on jej nie ma. Ale nie dość na tym: po to, aby kiełbia rodzina rosła i rozwijała się pomyślnie, aby członkowie jej byli zdrowi i rzeźcy, trzeba, aby się wychowywali w rodzimym żywiole, a nie w norze, w której on prawie oślepł od wiecznego mroku. Kiełbie muszą dobrze się odżywiać, nie unikać życia społecznego, odwiedzać się nawzajem i wzajemnie przejmować od siebie cnoty i inne doskonałe zalety. Albowiem tylko takie życie może udoskonalać ród kiełbi, nie dopuścić, aby zwyrodniał i skarlał na stynki.

Nie mają racji ci, którzy sądzą, że za godnych obywateli mogą się uważać tylko te kiełbie, które oszalałe ze strachu, siedzą w norach i drżą. Nie, to nie są obywatele, to w najlepszym razie bezużyteczne kiełbie. Nikogo nie grzeją, ani nie ziębią, nikomu nie przysparzają chwały, ani nie czynią szkody... żyją, na próżno zajmują miejsce, i zjadają przywienie.

Wszystko to stanęło przed oczyma kiełbia tak wyraźnie i jasno, że naraz wzięła go ogromna chęć, ażeby wyleźć z nory i dumnie przepłynąć wzdłuż całej rzeki! Ale zaledwie to pomyślał, znowu się zląkł. I zaczął z drżeniem umierać. Żył z drżeniem i umierał z drżeniem.

W jednej chwili przemknęło przed nim całe życie. Czy miał jakieś radości? czy kogo pocieszył? czy dał komu dobrą radę? powiedział komu dobre słowo? zaopiekował się kimś, ogrzał, obronił? kto o nim słyszał? kto wspomni o jego istnieniu?

I na wszystki te pytania zmuszony był odpowiedzieć: nikomu, nikt.

Żył i drżał — i tyle tylko. Nawet teraz: śmierć mu z oczu patrzy, a on wciąż drży, sam nie wie z jakiego powodu. W norze jego jest ciemno, ciasno, nie ma się gdzie obrócić; ani promień słoneczny tam nie zajrzy, ani ciepło nie przeniknie. A on leży w tej wilgotnej mgle, niewidomy, wynędzniały, nikomu nie potrzebny, leży i czeka: kiedyż wreszcie śmierć z głodu uwolni go od bezużytecznego istnienia?

Słyszy, jak koło jego nory śmigają inne ryby — być może kiełbie tak samo jak on — żadna nim się nie zainteresuje. Ani jednej z nich nie przyjdzie na myśl: trzeba by zapytać mądrego kiełbia, w jaki sposób potrafi przeżyć przeszło sto lat i ani szczupak go nie połknął, ani rak kleszczami nie przetrącił, ani rybak nie schwycił na wędkę? Płyną sobie koło nory i pewnie nie wiedzą, że właśnie w tej norze mądry kiełb kończy swój proces życiowy!

A najprzykrzejsze jest to, że nie słychać nawet, aby go kto nazywał mądrym. Po prostu mówią: słyszeliście o tym cymbale, który ani nie je, ani nie pije, nikogo nie widzi, z nikim się nie spotyka i wciąż tylko chroni swe uprzykrzone życie? A wielu nazywa go po prostu durniem i plugawcem i dziwi się, jak takich bałwanów woda nosi.

W ten sposób chodził kiełb po rozum do głowy i drzemał. Właściwie nie drzemał, lecz zaczynał już tracić świadomość. W uszach jego rozległy się przedśmiertne szepty, ciało ogarnęła niemoc. I zwidziało mu się ów dawny kuszący sen. Wygrał jakoby dwieście tysięcy, wyrósł na całe pół arszyna i sam łyka szczupaki.

A podczas, gdy mu się to śniło, pysk jego powoli, powoli całkiem wysunął się z nory.

I naraz kiełb znikł. Jak się to stało — czy go szczupak połknął, czy rak kleszczem przetrącił, czy też własną śmiercią umarł i wypłynął na powierzchnię — świadków na to nie było. Najprawdopodobniej sam umarł, bo nawet dla szczupaka, byłaby to wątpliwa przyjemność, łykać umierającego kiełba, i to w dodatku **przemądrzałego.**

Michał Saltykow-Szczedrin
Przełożył **Seweryn Pollak**

JURIJ TYNIANOW

przełożyli: ZIEMOWIT FEDECKI I TADEUSZ MONGIRD

PODPORUCZNIK KIŻE (3)

ilustracje I. Kibryka z wydania radzieckiego 1930 r.

Wywiesił przed swoim pałacem skrzynkę na skargi i listy, jako że on sam, a nikt inny, był ojcem ojczyzny. Skrzynka początkowo wisiała pusta, co napawało goryczą cesarza, ojczyzna bowiem powinna rozmawiać ze swoim ojcem. Po pewnym czasie w skrzynce znaleziono anonim, w którym Pawłowi Pietrowiczowi wygrażano i nazywano go ojczulkiem z nosem, jak kartofel.

Przejrzał się wtedy w lustrze:

— Nos, jak kartofel, mój panie — co prawda, to prawda — wykrztusił chrapliwie i kazał usunąć skrzynkę.

Kiedyś wyruszył w podróż po swej dziwnej ojczyźnie. Wygnał na Sybir gubernatora, który ośmielił się wybudować nowe mosty w guberni. Nie była to podróż w stylu matki. Wszystko musiało być prawdziwe, a nie na pokaz. Ojczyzna jednak milczała. Pewnego razu nad Wołgą zebrali się wokół niego chłopi. Chciał napić się czystej wody i posłał jednego z nich z czerpakiem na środek rzeki.

Wypił wodę i powiedział ochryple:

— Ot, i piję waszą wodę. Czego się gapicie?

Dokoła natychmiast zrobiło się pusto.

Nie podróżował już więcej i zamiast skrzynki na skargi porozstawiał na każdym posterunku rosłych wartowników, nie wiedział jednak, czy są mu wierni. Nie wiedział także, kogo należy się wystrzegać.

Wokół była zdrada i pustka.

Znalazł wreszcie sposób na usunięcie tego stanu rzeczy — dokładność i całkowita subordynację. Zaczęły pracować kancelarie. Mówiło się, że cesarz wziął na siebie tylko władzę wykonawczą, ale tak się jakoś złożyło, że władza wykonawcza wprowadzała we wszystkich kancelariach zamęt. W ten sposób powstały: domniemana zdrada, pustka i obłudna służalczość. Wydawało mu się, że jest zagubionym w morzu pływakiem, próżno wznoszącym ręce pośród rozszalałych fal — Paweł Pietrowicz widział kiedyś taki sztych — nieopatrznym pływakiem, którym zakrztusiło się morze.

A przecież był jedynym od wielu lat prawowitym samodzierżcą.

Mierziła go myśl o oparciu się na ojcu, nawet martwym. Rozkopał mogiłę zabitego widelcem niemieckiego safanduły, który był uważany za jego ojca i umieścił jego grób obok grobu przywłaszczycielki tronu. Uczynił to jednak, by się zemścić na zmarłej matce, za której życia wiódł egzystencję skazańca.

Czy była zresztą jego matką?

Wiedział, że jego przyjście na świat wiązało się z jakimś skandalem.

Był człowiekiem niewiadomego pochodzenia, pozbawionym nawet zmarłego ojca, pozbawionym nawet zmarłej matki.

Nigdy się nad tym nie zastanawiał i kazałby wystrzelić z armaty człowieka, który posądziłby go o podobne myśli.

W takich chwilach jednak sprawiały mu przyjemność nawet blahe figle i chińskie domki jego Trianon. Stawał się prawdziwym miłośnikiem przyrody i pragnął powszechnej miłości, lub chociażby czyjegoś uczucia.

Następowało to nagle, jak atak choroby i grubiaństwo uważane było wówczas za szczerość, głupota — za prostotę, chytrość — za dobroć, a ordynans — Turek, który czyścił mu buty, zostawał hrabią.

Jurij Aleksandrowicz zawsze górnym węchem przeczuwał zmianę.

Odczekał tydzień, a potem zwęszył stosowną porę.

Cichym, lecz raźnym kroczkiem zadreptał wokół szklanego parawanu i nagle opowiedział cesarzowi pod płaszczykiem prostoty i bezpośredniości, wszystko, co wiedział o podporuczniku Kiże, z wyjątkiem oczywiście szczególu o nosie.

Cesarz zachichotał raptem takim szczekającym, chrapliwym i urywanym śmiechem, jak gdyby chciał nim kogoś przewiercić na wskroś.

Jurij Aleksandrowicz zaniepokoił się.

Chciał zrobić przyjemność Nielidowej, jako przyjaciel domu, a przy sposobności pokazać swoje znaczenie, — gdyż w myśl rozpowszechnionego podówczas przysłowia, umsonst ist der Tod: — tylko śmierć jest za darmo. Taki chichot mógł jednak z miejsca postawić Jurija Aleksandrowicza w całkiem innej sytuacji a nawet stać się przyczyną jego zguby.

Czy nie są to aby drwiny?

Bynajmniej, cesarz osłabł ze śmiechu. Wyciągnął rękę po pióro i Jurij Aleksandrowicz, wspiąwszy się na palce, przeczytał, wodząc wzrokiem za cesarską ręką:

„Zesłanego na Sybir podporucznika Kiże dostawić z powrotem, mianować porucznikiem i z ową frejliną ożenić".

Po napisaniu tych słów, cesarz w natchnieniu przeszedł się po pokoju.

Klasnął w dłonie i zaśpiewał swą ulubioną piosenkę, pogwizdując do taktu:

Gaiku, gaiku,
Gaiku brzozowy...

a Jurij Aleksandrowicz cienkim i bardzo cichym głosikiem zawtórował:

Oj luli, luli...

XIV

Pokąsany pies ucieka zazwyczaj w pole i leczy się tam gorzkimi ziołami.

Porucznik Siniuchajew szedł na piechotę z St. Petersburga do Gatczyny. Szedł do ojca nie po to, by go prosić o pomoc, a tak sobie — chciał, być może, sprawdzić, czy ojciec istnieje w Gatczynie, czy też nie istnieje w ogóle. Na ojcowskie przywitanie odpowiedział milczeniem, rozejrzał się dokoła i chciał od razu odejść, jak człowiek, który się krępuje i robi ceregiele.

Lekarz, widząc braki w jego ubraniu kazał mu jednak usiąść i zaczął wypytywać:

— Zgrałeś się, czy może coś przeskrobałeś?

— Umarłem — powiedział nagle porucznik.

Lekarz zbadał mu puls, napomknął o pijawkach i wypytywał w dalszym ciągu:

Kiedy dowiedział się o synowskich tarapatach, przejął się tym bardzo, głowił się całą godzinę nad ułożeniem podania i zmusił syna, by je podpisał. Nazajutrz poszedł do barona Arakczejewa i wręczył mu podanie wraz z codziennym raportem. Bał się jednak trzymać syna u siebie w domu, toteż umieścił go w szpitalu i napisał na tabliczce nad jego łóżkiem: MORS OCCASIONALIS (śmierć przypadkowa).

XV

Barona Arakczejewa niepokoiła idea państwa.

Dlatego też trudno było określić jego charakter — raczej nieuchwytny. Baron nie odznaczał się mściwością, przeciwnie — bywał niekiedy pobłażliwy.

Gdy opowiadano mu jakąś smutną historię, popłakiwał, jak dziecko i, obchodząc ogród, dawał dziewczynce ogrodnika kopiejkę. Później, jeśli stwierdził, że dróżki nie są należycie zamiecione, przykazywał bić dziewczynkę rózgami. Po zakończeniu egzekucji dawał dziecku piątaka.

W obecności cesarza odczuwał słabość, graniczącą z miłością.

Lubił czystość, która była dewizą jego życia. Bywał jednak szczególnie zadowolony, kiedy udawało mu się znaleźć usterki w czystości i porządku, jeśli zaś ich nie znajdował, martwił się skrycie. Jadał zawsze solone mięso zamiast pieczystego.

Był roztargniony, jak filozof. I rzeczywiście, uczeni Niemcy znajdowali, że oczy jego podobne są do oczu głośnego podówczas w Niemczech filozofa Kanta. Były one wodniste, nieokreślonego koloru, powleczone błoną. Ale baron obraził się, kiedy ktoś powiedział mu o tym podobieństwie.

Był skąpy, choć lubił czasami olśnić i pokazać wszystko z jak najlepszej strony. Dlatego też wnikał w najdrobniejsze szczegóły gospodarstwa. Przesiadywał nad projektami kapliczek, orderów, obrazów i stołu w jadalni. Pociągały go koła, elipsy, i linie proste, które przeplatając się, jak rzemienie tworzyły zwodzącą oczy całość. Lubił omamić gościa, a nawet cesarza, sam zaś udawał, że niczego nie dostrzega, kiedy ktoś próbował go zwodzić. Oszukać barona Arakczejewa było, oczywiście, sztuką nielada.

Posiadał szczegółowy spis rzeczy każdego ze swoich ludzi, poczynając od kamerdynera a kończąc na kuchciku, sprawdzał też wszystkie akta szpitalne.

Podczas urządzania szpitala, w którym pracował ojciec porucznika Siniuchajewa, baron pokazywał osobiście, jak należy ustawić łóżka, a jak ławki, gdzie powinien się znajdować stolik ordynatorski, a nawet — jak musi wyglądać pióro, tzn. dokładnie odarte z pierza, na kształt rzymskiej trzcinki — calamusa. Za pozostawienie na piórach pierza cyrulik otrzymywał pięć rózeg.

Idea państwa rzymskiego niepokoiła barona Arakczejewa.

Z tej właśnie przyczyny wysłuchał z roztargnieniem lekarza Siniuchajewa dopiero i gdy ów wręczył mu podanie, przeczytał je z uwagą i zrobił lekarzowi wymówkę z powodu nieczytelnego podpisu.

— A widzisz, mój kochany — powiedział z zadowoleniem — ręka mu drży.

Potem spojrzawszy na lekarza, zapytał:

— Kiedy nastąpiła śmierć?

— Piętnastego czerwca — odpowiedział nieco stropiony lekarz.

— Piętnastego czerwca — ciągnął baron z namysłem — piętnastego czerwca... A dziś już mamy siedemnastego, — zwrócił się nagle do lekarza. — A co porabiał zmarły w ciągu dwu dni?

Widząc minę starego Siniuchajewa, uśmiechnął się z lekka, spojrzał niechętnym wzrokiem na podanie i powiedział:

— Proszę — jakie zaniedbanie. A teraz żegnaj, mój kochany, idź sobie.

XVI

Śpiewak i sekretarz stanu Mielecki działał bez chwili namysłu, ryzykował i często wygrywał, gdyż wszystko umiał przedstawić w sposób delikatny, pasujący znakomicie do barw Kameron. Wygrane przeplatały się jednak

przełożył SEWERYN POLLAK

SĄSIEDZI

W pewnej wsi żyło dwóch sąsiadów: Iwan Bogaty i Iwan Biedny. Bogatego nazywano „waćpanem" i „Siemionyczem", a biednego — po prostu Iwanem, a czasem nawet Iwankiem. Obaj byli przyzwoitymi ludźmi, a Iwan Bogaty — był nawet wspaniałym człowiekiem. Filantrop był z niego jak się patrzy. Sam nie wytwarzał wartości, ale bardzo szlachetnie myślał o rozdziale dóbr. „To jest — powiada — z mojej strony wkład. Inny — powiada — i wartości nie wytwarza, i myśli nieszlachetnie — a to już świństwo. A ja jeszcze ujdę". A Iwan Biedny nie myślał wcale o rozdziale dóbr (nie miał na to czasu) ale zamiast tego wytwarzał dobra. I również mówił: to jest z mojej strony wkład.

Zejdą się czasami w przedświąteczny wieczór, gdy i biedni i bogaci — wszyscy mają czas, siądą na ławeczce przed pięknym domem Iwana Bogatego i zaczną gawędzić.

— Na czym jutro kapuśniak gotujesz? — pyta Iwan Bogaty.

— Na wodzie — odpowiada Iwan Biedny.

— A ja na mięsie.

Ziewnie sobie Iwan Bogaty, przeżegna usta, spojrzy na Biednego Iwana i żal mu się go robi.

— Dziwnie na tym świecie — rzecze. — Człowiek, który stale pracuje, ma w święto jałowy kapuśniak na stole, a ten, który spędza czas w pożytecznej bezczynności — ma w dzień powszedni kapuśniak z mięsem. Dlaczego to tak?

— I ja sobie od dawna myślę: dlaczego to tak? ale nie mam czasu na rozmyślanie. Jak tylko zacznę myśleć, to już trzeba jechać do lasu po drzewo: przywiozłem drzewa — patrzę, przyszedł czas nawóz wywozić, albo z sochą wyjeżdżać na pole. I tak w robocie uciekają myśli.

— Trzeba by jednak nad tym się zastanowić.

— I ja powiadam: trzeba by.

Z kolei ziewnie Iwan Biedny, przeżegna usta, idzie spać i we śnie widzi jutrzejszy jałowy kapuśniak. A nazajutrz budzi się i widzi, że Iwan Bogaty przygotował mu niespodziankę: przysłał na święto mięso do kapuśniaku.

W wigilię następnego święta znów się schodzą sąsiedzi i znów podejmują stary temat.

— Czy uwierzysz — rzecze Iwan Bogaty, że i we śnie i na jawie jedno tylko widzę: jak bardzo jesteś w porachunku ze mną pokrzywdzony!

— Dzięki i za to — odpowiada Iwan Biedny.

— Chociaż i ja szlachetnymi myślami niemałą przynoszę korzyść społeczeństwu, jednakże, przecież ty... gdybyś nie wyszedł na czas z sochą — to trzeba by było chyba siedzieć bez chleba. Czy nie?

— Tak jest. Tyle że nie mogę nie wyjść, bo wówczas pierwszy zginąłbym z głodu.

— Masz rację: dowcipnie to jest urządzone. Nie sądź jednak, że to pochwalam — ależ za Boga! Jedno tylko mnie trapi: Panie! jakby tu zrobić, żeby Iwanowi Biednemu było dobrze?! Żeby tak mnie moja porcja przypadła, a jemu jego porcja.

— Dzięki i za to, łaskawco, że się kłopoczesz. To prawda, gdyby nie pańskie dobre serce —— siedziałbym teraz w święto o samej zalewajce...

— Co znowu, co znowu! czy ja o tym mówię? Zapomnij o tym, chodzi mi o co innego. Ile to już razy postanawiałem: pójdę i oddam pół majątku ubogim! I oddawałem. No i cóż? dziś oddałem połowę majątku, a nazajutrz budzę się — i zamiast oddanej połowy zjawiło mi się znowu trzy czwarte.

— Czyli, że z procentem...

— Nie ma na to rady, bracie. Ja — od pieniędzy, a pieniądze — do mnie. Ja biednemu garstkę, a do mnie, nie wiadomo skąd, zamiast jednej przychodzą dwie. Istne cuda!

Nagadają się i zaczynają poziewywać. A w czasie rozmowy Iwan Bogaty wciąż rozmyśla: co by tu takiego zrobić, żeby jutro Iwan Biedny miał kapuśniak z mięsem? Myśli, myśli i wreszcie wymyślił.

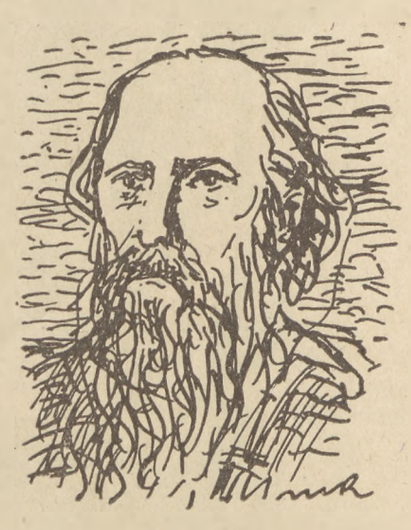

rys. Marek Rudnicki

Michał Sałtykow-Szczedrin

— Słuchaj, przyjacielu! — rzecze. Już nie wiele zostało do nocy, idź do mego sadu i ukop grządkę. Ty sobie z godzinkę podłubiesz w ziemi łopatą, a ja cię, w miarę możności, wynagrodzę — tak jakbyś doprawdy pracował.

I rzeczywiście, pobawi się łopatą Iwan Biedny jedną czy dwie godzinki, a nazajutrz ma święto, tak jakby doprawdy pracował.

Długo czy krótko sąsiedzi w ten sposób gawędzili, aż wreszcie tak się Iwan Bogaty wzburzył sercem, że doprawdy nie mógł już dłużej wytrzymać.

— Pójdę, powiada, do samego Najdostojniejszego, padnę przed nim na kolana i powiem: „Jesteś naszym carskim okiem, ty tu związujesz i rozwiązujesz, karzesz i ułaskawiasz! Każ nas z Iwanem Biednym wziąć pod jeden strychulec. Aby od niego rekruta — i ode mnie rekruta, od niego podwodę — i ode mnie podwodę, z jego dziesięciny grosz — i z mojej dziesięciny grosz. I żebyśmy jednakowo wolni byli od akcyzy!"

Jak powiedział, tak też i zrobił. Przyszedł do Najdostojniejszego, padł przed nim na kolana i wyłożył swoje zmartwienie. A Najdostojniejszy pochwalił za to Iwana Bogatego. Rzekł mu: „Dzięki ci, dobry mołojcze, za to, że nie zapominasz o sąsiedzie swoim, Iwaszce Biednym. Wielce bowiem to miłe dla władz, gdy carscy poddani żyją w dobrej zgodzie i we wzajemnej dbałości, a nie ma nic gorszego, gdy spędzają czas na swarach, w nienawiści i na wzajemnych donosach!" Rzekłszy to, Najdostojniejszy na własną odpowiedzialność rozkazał swym pomocnikom, aby tytułem próby dla obu Iwanów był jednaki sąd i jednakie daniny, i żeby na przyszłość nie było tak, że jeden ponosi ciężary, a drugi żyje podśpiewując.

Powrócił Iwan Bogaty do swojej wsi i nie czuje z radości ziemi pod stopami.

— Widzisz, przyjacielu serdeczny — powiada do Iwana Biednego — z łaski władz zwaliłem z serca ciężki kamień! Teraz już, tytułem próby, nie będę miał w porównaniu z tobą żadnych ulg. Od ciebie rekruta — i ode mnie rekruta, od ciebie podwodę — i ode mnie podwodę, z twojej dziesięciny grosz — i z mojej grosz. Ani się obejrzysz, jak z tego wyrównania będziesz miał co dzień mięso w kapuśniaku!

To rzekłszy, Iwan Bogaty ciesząc się nadzieją sławy i dobra, wyjechał do ciepłych wód, gdzie przez dwa z kolei lata spędzał czas na pożytecznej bezczynności..

Był w Westfalii — jadł szynkę westfalską; był w Strassburgu — jadł strassburski pasztet; był w Bordeau — pił bordoskie wino; wreszcie przyjechał do Paryża — i tam pił i jadł w ogóle wszystko. Słowem, żył tak wesoło, że ledwo uszedł cało. I przez cały czas myślał o Iwanie Biednym: ależ ten po wyrównaniu teraz zajada się na całego!

Tymczasem Iwan Biedny żył w ciężkim trudzie. Dziś zaorze rolę, a jutro ją zabronuje; dziś skosi ćwierć dziesięciny, a jutro, gdy Bóg da pogodę, bierze się do suszenia siana. Do karczmy nawet drogi zapomniał, ponieważ wie, że karczma — to jego zguba. A żona jego, Maria Iwanowna, mozoli się z nim razem: i żnie, i bronuje, i siano przetrząsa, i drzewo rąbie. I dzieciska im podrosły, te również aż się rwą, żeby choć trochę popracować. Słowem, w całej rodzinie od rana do nocy wrze jak w kotle, a jednak jałowy kapuśniak nie schodzi z ich stołu. A od czasu jak Iwan Bogaty wyjechał ze wsi, to nawet i w święta Iwan Biedny nie widzi niespodzianek.

— Nie dzieje się nam dobrze — powiada biedak do żony. — Zrównali mnie tytułem próby z Iwanem Bogatym, a jednak wciąż znajdujemy się w dawnym stanie. Każdy z nas bogaty, jak pies rogaty; tak czy siak, a wszystkiego brak.

Aż jęknął Iwan Bogaty, gdy ujrzał sąsiada w dawnym ubóstwie. Trzeba przyznać, iż pierwszą jego myślą było, iż Iwaszka do karczmy dochody swoje ciągnie. „Czyżby był tak zatwardziały? czyżby był niepoprawny?" — wykrzykiwał z głębokim smutkiem. Jednakże Iwanowi Biednemu nie było trudno dowieść, że nie starczało mu dochodów nie tylko na wódkę, ale często nawet na sól. A na to, że nie jest rozrzutnikiem, utraciuszem, lecz dbałym gospodarzem— są oczywiste dowody. Pokazał Iwan Biedny swój inwentarz gospodarczy i wszystko okazało się w tym stanie, w jakim było przed wyjazdem bogatego sąsiada do ciepłych wód. Gniady pokaleczony koń — 1, krowa łaciata — 1; owca — 1; wóz, socha, brona. Nawet stare sanie stoją u płota, choć ze względu na letnią porę nie są potrzebne i można by je, bez uszczerbku dla gospodarstwa, zastawić w karczmie. Następnie obejrzeli chatę — i tam nic nie ubyło, tyle że z dachu miejscami słoma była powyszarpywana, ale i to stało się dlatego, że łońską wiosną zabrakło paszy, więc ze zbutwiałej słomy przygotowywali sieczkę dla bydła.

Słowem, nieokazało się ani jednego faktu, który by świadczył o rozpuście i marnotrawstwie Iwana Biednego. Był to z dziada pradziada uciśniony rosyjski chłop, który wytężał wszystkie siły, aby urzeczywistniać swoje prawo do życia, ale z winy jakiegoś gorzkiego nieporozumienia urzeczywistniał je jedynie w sposób wyjątkowo niedostateczny.

— Boże! dlaczegóż to tak? — martwił się Iwan Bogaty — oto nas zrównali, i prawa mamy jednakowe, i podatki jednakowe płacimy, a jednak żadnej z tego nie masz korzyści — czemu to?

— Ja też tak sobie myślę: czemu to? — smutnie odezwał się Iwan Biedny.

Sięgnął Iwan Bogaty po rozum do głowy i, oczywiście, znalazł przyczynę. Dlatego ponoć tak wychodzi, że nie mamy ani społecznej, ani prywatnej inicjatywy. Społeczeństwo jest obojętne, wszyscy ludzie prywatni myślą o sobie, władze zaś dokładają co prawda starań, ale na próżno. Czyli, że przede wszystkim trzeba ożywić nasze społeczeństwo.

Zrobił jak rzekł. Zwołał Iwan Siemionycz Bogaty zebranie gromadzkie i wobec wszystkich właścicieli domów wygłosił wspaniałą mowę o korzyściach społecznej i prywatnej inicjatywy... Mówił obszernie, perliście i przekonywająco, jak gdyby rzucał perły przed wieprze; dowodził na przykładach, że tylko te społeczeństwa dają rękojmię żywotności i rozwoju, które umieją same o siebie dbać; te zaś, które pozwalają, aby wypadki odbywały się bez ich udziału, z góry same skazują się na stopniowe wymieranie i nieuniknioną zgubę. Słowem, wyłożył słuchaczom to wszystko, co wyczytał w groszowym elementarzu.

Wynik przeszedł wszelkie oczekiwania. Mieszkańcy osady nie tylko przejrzeli, ale nabrali świadomości. Nigdy nie odczuwali tak silnego napływu najprzeróżniejszych wrażeń. Zdawało się, że nagle zaskoczyła ich dawno upragniona, lecz nie wiadomo dlaczego i gdzie powstrzymana fala życia, która wysoko, wysoko uniosła na swym grzbiecie ten ciemny lud. Tłum pełen był radości, upojony tym, że przejrzał; Iwana Bogatego czczono, nazywano bohaterem. A na zakończenie jednogłośnie postanowiono: 1) karczmę zamknąć na zawsze, 2) założyć podstawy samopomocy ustanawiając Towarzystwo Uczynnej Kopiejki.

Tego samego dnia, zgodnie z ilością mieszkańców wsi, do kasy Towarzystwa wpłynęły dwa tysięce dwadzieścia trzy kopiejki, a Iwan Bogaty ponad to ofiarował niezamożnym sto egzemplarzy groszowego elementarza, mówiąc: czytajcie, przyjaciele! tu jest wszystko, czego wam potrzeba!

Znowu wyjechał Iwan Bogaty do ciepłych wód i znów Iwan Biedny pozostał przy pożytecznych mozołach, które tym razem, dzięki nowym warunkom samopomocy i współdziałania groszowego elementarza, bezwarunkowo powinny były ustokrotnić mu plony.

Minął rok, minął drugi. Czy w ciągu tego czasu Iwan Bogaty jadł w Westfalii szynkę westfalską, a w Strassburgu — strassburskie pasztety — tego z pewnością powiedzieć nie umiem. Wiem jednak, że gdy po upływie wyznaczonego czasu wrócił do domu, to w pełnym tego słowa znaczeniu zdębiał.

Iwan Biedny siedział w zrujnowanej chałupie, chudy, wynędzniały; na stole stał kubek z zalewajką, do której Maria Iwanowna, z okazji święta, dolała dla zapachu łyżkę konopnego oleju. Dzieciaki obsiadły stół wokoło i jadły z pośpiechem, jakby w obawie, aby nie przyszedł ktoś obcy i nie zażądał sierocej cząstki.

— Czemuż to tak? — z goryczą, prawie z rozpaczą wykrzyknął Iwan Bogaty.

— I ja powiadam: czemu to? — z przyzwyczajenia odezwał się Iwan Biedny.

Znowu zaczęły się przedświąteczne gawędy na ławeczce przed pięknym domem Iwana Bogatego, ale choć rozmówcy wszechstronnie rozważali dręczące ich zagadnienie, nic z tych rozważań nie wyszło. Z początku Iwan Bogaty sądził, że dzieje się to tak dlatego, iż nie dojrzeliśmy, lecz po zastanowieniu przekonał się, że jedzenie pieroga z nadzieniem — wcale nie jest tak trudną nauką, aby potrzebne było dla niej świadectwo dojrzałości. Spróbował dotrzeć głębiej, ale przy pierwszym zaraz pociągnięciu z głębi powyskakiwały takie straszaki, że natychmiast zarzekł się nigdy do niczego nie docierać. Wreszcie postanowili uciec się do ostateczności: zwrócić się po wyjaśnienia do mieiscowego mędrca i filozofa, Iwana Prostaczka.

Prostaczek był rdzennym mieszkańcem wsi, kulawym garbusem, który z powodu ubóstwa dóbr nie wytwarzał, a żywił się tym, że przez okrągły rok chodził na żebry. Ale we wsi mówiono o nim, że jest mądry jak pop Siemion, a Prostaczek całkowicie zasługiwał na tę reputację. Nikt lepiej od niego nie umiał wróżyć z fasoli i pokazywać cudów w rzeszocie. Przepowie Prostaczek czerwonego koguta — spojrzeć, a już gdzieś tam kogut macha skrzydłami na dachu; przepowie grad wielkości gołębiego jaja — spojrzeć, a już wpół oszalałe stado ucieka z pola przed gradem. Wszyscy się go bali, a gdy pod oknem rozlegał się stuk jego żebraczego kostura, gospodyni śpieszyła się, aby jak najszybciej podać mu najlepszy kąsek.

I tym razem Prostaczek całkowicie usprawiedliwił swą reputację jasnowidza. Jak tylko Iwan Bogaty wyłożył mu okoliczności sprawy, a następnie zadał pytanie: dlaczego to tak? — Prostaczek natychmiast, bez chwili zastanowienia odrzekł:

— Dlatego, że w planach tak ustanowiono.

Iwan Biedny widocznie od razu zrozumiał powiedzenie Prostaczka i beznadziejnie pokiwał głową. Ale Iwan Bogaty stanowczo nie mógł tego pojąć.

— Jest taki plan — wyjaśnił Prostaczek, wyraźnie wymawiając każde słowo, jak gdyby rozkoszując się własną przenikliwością: — a w tym planie jest oznaczone: żyje Iwan Biedny na rozdrożu, a mieszkanie jego jest ni to chałupą, ni to dziurawym rzeszotem. No i bogactwo przepływa wciąż mimo, gdyż nie ma na nie powstrzymania. A ty, Iwanie Bogaty, żyjesz przy samym stoku, dokąd ze wszystkich stron zbiegają się strumienie. Dom masz przestronny, dobrze zbudowany, ogrodzenie wokoło mocne. Jak do twego domostwa przypłyną strumienie z bogactwem — to i utkną. A jeśli ty na przykład wczoraj rozdał połowę majątku, to dzisiaj na zmianę przytoczy ci potok całe trzy czwarte. Ty od pieniędzy uciekasz, a pieniądze cię gonią. Pod jaki byś krzak nie zajrzał, wszędzie leży bogactwo. Taki to już plan. I jak byście razem nie roztrząsali, jak byście nie zachodzili w głowę — nic nie wymyślicie, póki w owym planie tak jest pisane.

Michał Sałtykow-Szczedrin
przełożył **Seweryn Pollak**

Setną rocznicę śmierci Juliusza Słowackiego i Fryderyka Chopina, przypadającą na rok bieżący, upamiętniły wszystkie nasze czasopisma literackie serią publikacyj specjalnych. Zeszyt majowy „Twórczości" większą część swych materiałów poświęca życiu i dziełom wielkich artystów słowa i tonów.

Przemówienie premiera Józefa Cyrankiewicza podczas uroczystej inauguracji Roku Słowackiego w zwięzłej syntezie przedstawia aktualne wartości poezji Słowackiego w Polsce Ludowej.

Zagadnienie rewolucyjnych i nowatorskich zdobyczy poezji Słowackiego na tle epoki, na tle sztuki europejskiej jemu współczesnej i obecnej podejmuje również essay Wilhelma Macha pt. „Podróż na Wschód".

Cykl poświęconych Słowackiemu prac zamyka fragment monografii o „Królu Duchu", dobyty z puścizny zmarłego w r. 1938 badacza literatury i krytyka — Jana Gwalberta Pawlikowskiego.

Na uwagę zasługuje przedruk anonimowego artykułu, ogłoszonego w r. 1850 w jednym z pism krajowych; autor artykułu zestawia — po raz pierwszy u nas — Słowackiego z Chopinem.

Oryginalnym utworem literackim, przedstawiającym życie i twórczość Fryderyka Chopina w okresie paryskim, jest szkic do scenariusza filmowego pióra Jerzego Broszkiewicza pt. „Manifestacja w grudniu".

Piękne liryki Mariana Jachimowicza o Słowackim i Chopinie dopełniają interesujących materiałów rocznicowych.

Z innych pozycyj zasługuje na wyróżnienie świetny essay Zygmunta Kałużyńskiego pt. „Literatura wielkiego konfliktu pokoleń". Autor — na marginesie dyskusyj nad książką Alaina Fourniera „Mój przyjaciel Meaulnes" — rozważa interesujący problem sporu pokoleń w literaturze ostatniego wieku, we Francji, w Anglii i w Niemczech.

Odrębne miejsce zajmuje rozdział powieści „Bouvard i Pécuchet" Gustawa Flauberta w tłumaczeniu Wacława Rogowicza.

Dział poetycki reprezentują w majowym zeszycie „Twórczości" — poza wymienionym już Jachimowiczem — Tadeusz Różewicz, Witold Wirpsza i Klemens Oleksik.

Zeszyt zamyka artykuł Wilhelma Macha pt. „Ofensywa na froncie książki" przedstawiający zdobycze podjętej przez cały naród akcji upowszechnienia czytelnictwa.

---

z przegranymi, jak figury w kadrylu. Baron Arakczejew stosował inną metodę. Nie ryzykował i za nic nie ręczył. Przeciwnie, w sprawozdaniach składanych cesarzowi wskazywał na nadużycia, a jednocześnie prosił o decyzję, jakimi środkami je wykorzenić. Mieleckiemu groziła degradacja, baron zaś sam się degradował, lecz w nagrodę za to miał w perspektywie wielką wygraną — jak w grze w faraona.

Baron zwięźle zawiadomił cesarza, że zmarły porucznik Siniuchajew przybył do Gatczyny, gdzie został umieszczony w szpitalu. Zmarły utrzymywał przy tym, że jest żywy i złożył podanie w sprawie umieszczenia go na powrót na liście pułkowej — które to podanie załącza się przy niniejszym wraz z prośbą o dalsze wskazówki. Baron chciał przy pomocy tego pisma wykazać swą pokorę, jako gorliwy sługa, który o wszystko pyta swego pana.

Odpowiedź nadeszła szybko — zarówno na podanie, jak i na sam raport barona Arakczejewa.

Na podaniu znajdowała się decyzja:

Byłemu porucznikowi Siniuchajewowi, skreślonemu z listy na skutek śmierci, udzielić odmowy z wyżej wymienionego powodu.

Baron zaś otrzymał następujący list:

Panie Baronie Arakczejew!

Dziwię się, że będąc w randze generała, nie zna Pan regulaminów i przepisy mi bezpośrednio podanie zmarłego porucznika Siniuchajewa, nie należącego przy tym do pańskiego pułku, które to podanie należało właściwie skierować do kancelarii pułku owego porucznika, a nie obarczać mnie bezpośrednio podobnymi sprawami.

Poza tym pozostaję przychylny Panu

Paweł.

Nie było powiedziane: „zawsze przychylny".

Arakczejew załamał się, ponieważ okropnie nie lubił, gdy go beształo. Osobiście udał się do szpitala i kazał natychmiast przepędzić zmarłego porucznika, zwracając mu bieliznę, a mundur oficerski, figurujący w aktach polecił zatrzymać.

XVII

Kiedy porucznik Kiże wrócił z Sybiru, wiedziało już o nim wiele osób. Był to ów podporucznik, który krzyczał „hiada" pod oknem cesarza, za co został wychłostany i zesłany na Sybir, a następnie ułaskawiony i mianowany porucznikiem. Były to zupełnie określone fakty z jego życia.

Pułkownik nie krępował się już całkiem jego osobą i bez żadnych ceremonii wyznaczał go do pełnienia warty i dyżurów. Kiedy pułk wyruszał na manewry, porucznik wyruszał z pułkiem. Był sumiennym oficerem, ponieważ nie można mu było nic zarzucić.

Frejlina, której nagle omdlenie uratowało go, ucieszyła się zrazu, sądząc, że połączą ją węzłem małżeńskim z jej nieoczekiwanym adoratorem. Nalepiła muszkę na policzek i z trudem zaciągnęła gorset. Później, w cerkwi zauważyła, że stoi samotnie, a adiutant po prawej ręce trzyma koronę nad pustym miejscem. Chciała już zemdleć ponownie, ale rozmyśliła się, ponieważ stała ze spuszczonymi oczyma i widziała swą talię. Pewna tajemniczość obrządku, w którym oblubieniec nie brał udziału, podobała się wielu obecnym.

Po pewnym czasie porucznikowi Kiże urodził się syn, jak mówiono — podobny do ojca.

Cesarz zapomniał o poruczniku. Miał wiele spraw na głowie.

Zwinna Nielidowa otrzymała dymisję, a miejsce jej zajęła pulchna Gagarina. Kameron, szwajcarskie domki, a nawet całe Pawłowskoje poszły w zapomnienie. W ceglanym porządku leżał przyziemny i żołnierski St. Petersburg. Opętaniec wojskowy, Suworow, którego cesarz nie lubił, lecz tolerował z racji ciągłych zatargów z nieboszczykiem Potiomkinem, został zaalarmowany w swej wiejskiej samotni. Zbliżała się kampania, gdyż cesarz miał jakieś plany. Planów tych było wiele i często jeden kolidował z drugim. Paweł Pietrowicz roztył się i stracił wenę. Twarz jego nabrała koloru cegły. Suworow znów popadł w niełaskę. Cesarz śmiał się coraz rzadziej.

Przeglądając listy pułkowe natknął się pewnego razu na porucznika Kiże i mianował go kapitanem, a za drugim razem — pułkownikiem. Porucznik był sumiennym oficerem. Później cesarz zapomniał o nim.

Życie pułkownika Kiże upływało niepostrzeżenie i wszyscy się do tego przyzwyczaili. Miał w domu swój własny gabinet, w koszarach oddzielny pokój i kiedy zanoszono tam raporty i rozkazy, nie dziwiono się zbytnio nieobecnością pułkownika.

Dowodził już pułkiem.

Najlepiej zaś czuła się w ogromnym łożu małżeńskim frejlina. Mąż awansował, spać było wygodnie, syn podrastał. Od czasu do czasu małżeńskie miejsce pułkownika zagrzewał jakiś porucznik, kapitan, czy zgoła cywil. Zdarzało się to zresztą w wielu pułkownikowskich sypialniach St. Petersburga; których gospodarze brali udział w wyprawach wojennych.

Pewnego razu, gdy zmęczony kochanek już zasnął, frejlina usłyszała skrzyp w sąsiednim pokoju. Przyczyną niepokoju, ponad wszelką wątpliwość była rozsychająca się podłoga. Frejlina w mgnieniu oka rozbudziła śpiącego, wypchnęła go z pokoju i rzuciła mu za drzwi ubranie. Opamiętawszy się, wybuchnęła głośnym śmiechem.

Ale i takie wypadki zdarzały się w domach wielu pułkowników.

XVIII

Od chłopów zawiewało wiatrem, od bab — dymem.

Porucznik Siniuchajew nie patrzył ludziom w oczy i rozróżniał ich po zapachu.

Kierując się węchem, wybierał miejsce noclegu, przy czym kładł się zazwyczaj spać pod drzewem, gdzie człowiek mniej moknie podczas deszczu.

Szedł, nie zatrzymując się nigdzie.

Mijał czuchońskie wioski jak płaski kamyk, „kaczka", puszczony ręką chłopca przebywa rzekę, zaledwie dotykając powierzchni wody. Czasami czuchonki dawały mu mleka. Pił na stojąco i ruszał w dalszą drogę. Dzieci milkły i ucierały rękawami zasmarkane nosy. Wioska zamykała się za nim.

Krok porucznika Siniuchajewa niewiele się zmienił. Zatracił co prawda swą sprężystość, stał się niedbały i chwiejny, ale wciąż jeszcze był to wojskowy krok oficera.

Nie orientował się w kierunkach. Jednakże kierunki, w których szedł, dałyby się określić. Zbaczając, robiąc zygzaki, podobne do błyskawic na obrazach, przedstawiających potop, zataczał kręgi, a kręgi te powoli zacieśniały się.

Upłynął rok, zanim krąg zamknął się w jednym punkcie — porucznik Siniuchajew wkroczył do St. Petersburga. Wkroczył i obszedł go od końca do końca.

Następnie zaczął krążyć po mieście, przy czym zdarzało mu się, że całymi tygodniami zataczał jedno i to samo koło.

Szedł szybko, wciąż tym samym wojskowym i niedbałym krokiem, który sprawia wrażenie, że ręce i nogi są sztucznie przytwierdzone do tułowia.

Sklepikarze nienawidzili go. Kiedy wypadało mu przechodzić przez rynek, wykrzykiwali za nim:

— Przyjdź wczoraj!

— Śpiesz się do tyłu!

Mówiono, że przynosi nieszczęście. Przekupki w obawie przed urokiem zmawiały się po cichu między sobą i dawały mu po kołaczu.

Chłopcy zaś, którzy w każdej epoce znakomicie podchwytują słabe strony ludzkie biegli za nim i krzyczeli:

— Strach na sznurkach.

XIX

W St. Petersburgu przebrzmiały już okrzyki strażników przed zamkiem Pawła Pietrowicza:

— Imperator śpi.

Okrzyk ten powtórzyli halabardnicy na skrzyżowaniach ulic:

— Imperator śpi.

Sklepy zamykały się jak za podmuchem wiatru, a przechodnie ukrywali się w domach.

Oznaczało to, że nadszedł wieczór.

Na polu Isaakijewskim gromady chłopów w zgrzebnych koszulach, spędzone z wiosek na roboty, pogasiły ogniska i ułożyły się do snu na golej ziemi, nakrywając się kapotami.

Halabardnicy, zawoławszy „Imperator śpi", zasnęli również. Na wale twierdzy Pietropawłowskiej chodził jak zegar wartownik. W pewnym szynku na przedmieściu siedział przepasany łykiem posługacz i pił siwuchę ze stangretem.

— Niedługo już skończą z beznosym batiką — mówił stangret — woziłem wielkich panów...

Most zwodzony, wiodący do zamku, był podniesiony. Paweł Pietrowicz spoglądał przez okno.

Był na razie bezpieczny na swej wyspie.

Na razie. Po pałacu krążyły szepty i spojrzenia, których znaczenie rozumiał, a spotykani na ulicach ludzie padali przed jego koniem na kolana z dziwnym wyrazem twarzy. Taki był jego rozkaz; lecz teraz ludzie padali w błoto inaczej, niż zazwyczaj. Padali zbyt pośpiesznie. Koń był wysoki i Paweł Pietrowicz kołysał się w siodle. Panował zbyt pośpiesznie. Zamek był obszerny, niedostatecznie zabezpieczony, trzeba było wybrać mniejszy pokój. Paweł Pietrowicz nie mógł tego uczynić bez zwrócenia niczyjej uwagi. „Warto by schować się w tabakierce" — pomyślał cesarz, zażywając tabaki. Świec nie zapalał. Nie trzeba naprowadzać na ślad. Stał w ciemności, w samej tylko bieliźnie. Stojąc tak przy oknie, wyliczał w myśli swych ludzi. Wprowadzał zmiany, wykreślał Beningsena, wpisywał Olsufiewa.

Lista się nie zgadzała.

— Nic z tego rachunku...

— Arakczejew głupi — powiedział półgłosem.

— ...vague incertitude, którą chce mi pochlebić...

Przy moście zwodzonym ledwo majaczyła sylwetka wartownika.

— Należy — powiedział z przyzwyczajenia Paweł Pietrowicz.

Bębnił palcami po tabakierce.

— Należy — nagle coś sobie przypomniał i przestał bębnić.

Wszystko, co należało uczynić, dawno już zostało wykonane. Nie wystarczało to jednak. Należy uwięzić Aleksandra Pawłowicza, — tu myśli poplątały się i Paweł Pietrowicz machnął ręką.

— Należy...

— Cóż należy?

Położył się do łóżka i szybko, jak zwykle naciągnął kołdrę na głowę.

Zasnął mocnym snem.

(Dokończenie na stronie szóstej)

SZTUKA DLA DZIECI I MŁODZIEŻY

JANINA MORTKOWICZOWA

WSPOMNIENIE

W latach od 4.X. r. 1913 do 1.VIII. r. 1914 wychodziło w Warszawie ilustrowane pismo dla młodzieży pt. **„Z bliska i z daleka"** z dodatkiem dla dzieci pt. **„W słońcu"**.

W latach od r. 1916 — do 1926 ukazywał się dwutygodnik dla dzieci i nauczycieli pt. **„W słońcu"**. Oba pisma redagowane były przez Stefanię Sempołowską i Janinę Mortkowiczową.

Wspomnienie o tych jedynych w Polsce a zapomnianych pismach ideowych dla młodzieży zacząć muszę od charakterystyki naczelnej ich redaktorki Stefanii Sempołowskiej. Płomienna bojowniczka o najwyższe ideały społeczne i etyczne, nieugięta i niestrudzona w walce z wstecznictwem, niesprawiedliwością i krzywdą ludzką, natchniona wychowawczyni młodego pokolenia, czcicielka piękna i dobra w każdym przejawie życia — jako jedno z narzędzi swego posłannictwa obrała redagowanie pisma dla młodzieży. Traktowała swoją pracę, jako misję. Poświęcała jej swój czas, swą bogatą różnostronną wiedzę, kładła w nią swą żarliwą wiarę i twórczy entuzjazm.

Pismo **„Z bliska i z daleka"** powstało z głębokiego przeświadczenia że dzieciom i młodzieży należy dawać wszystko najlepsze. Przyświecał mu ambitny cel kształcenia swych młodych czytelników na przyszłych światłych ideowych obywateli nowej odrodzonej Polski.

W tym dążeniu redakcja pisma przy pomocy wydawcy Jakuba Mortkowicza nie szczędziła wysiłków, aby poziom naukowy, literacki i artystyczny utrzymać na wysokim poziomie.

Pierwszy numer ukazał się na doskonałym papierze z całostronicowym rysunkiem Jana Rembowskiego na stronie tytułowej, z winietami Adama Połtawskiego, z reprodukcjami nieznanych obrazów Piotra Michałowskiego ze zbiorów Stanisława Patka. Niemniej rewelacyjna była treść numeru. Składa się na nią przede wszystkim nowy nieznany utwór Stefana Żeromskiego*) ofiarowany przez autora nowopowstałemu pismu.

Artykuły: historyczny, geograficzny, przyrodniczy, literacki pióra najlepszych popularyzatorów i wybitnych naukowców tworzyły całość niezwykle wartościową.

Większość następnych numerów pisma stanowiły skomponowane i zharmonizowane całości na jeden temat. Był więc np. numer poświęcony Edwardowi Dembowskiemu z artykułami: O entuzjastach i entuzjastkach, O Narcyzie Żmichowskiej. Były numery: O Księstwie Warszawskim, O Królestwie Kongresowym — z pracami historyków, Artura Śliwińskiego, Natalii Gąsiorowskiej, Mariana Kukiela, Grabca, z utworami Tetmajera i Wielopolskiej. Był numer o Azji Mniejszej i Grecji, ilustrowany reprodukcjami zabytków greckich. Numer o Kaukazie, Gruzinach i Ormianach. Numer o Filomatach i Filaretach z pięknym portretem Mickiewicza według portretu Wańkowicza (z r. 1820) i piękną pracą Artura Górskiego „Oda do młodości". Były numery o Arabii i Arabach. O Mezopotamii z reprodukcjami rzeźb asyryjskich. Były artykuły pod wymownymi tytułami: „O wiośnie ludów", „Dla ludu oświaty i nauki", „O ubezpieczeniach robotników" itp.

W dodatku dla dzieci ukazywały się świetne cykle opowiadań Janusza Korczaka „Powieść, która się nie nazywa" i z „Tygodnika Domu sierot", poezje Bronisławy Ostrowskiej, bajki Benedykta Hertza, nawet Staffa „Deszcz majowy"; z przekładów drukowano pisarzy rosyjskich, skandynawskich i angielskich

Pismu zarzucano zbyt wysoki poziom, brak strony rozrywkowej. Braki te, może istotne, wynikały z założenia pisma.

Grupowała się przy nim młodzież inteligentna, wypowiadająca się w bardzo ciekawych „Głosach czytelników" i w „Korespondencji między czytelnikami".

„Z bliska i z daleka" ukazywało się do wybuchu wojny w 1914 roku.

Mało kto pamięta dziś o tym wysiłku redaktorskim i wydawniczym. Obawiam się, że posiadany przeze mnie zdemkompletowany egzemplarz jest unikatem.

W roku 1916 ta sama redakcja rozpoczyna wydawanie nowego pisma pt. **„W słońcu"** (dwutygodnik dla dzieci i nauczycieli). Pismo miało inne założenia niż poprzednio wydawane, a raczej inny poziom. Chciało służyć szkole powszechnej. Nowością powodującą zresztą dość poważne trudności było w nim jednoczesne zwracanie się z tymi samymi utworami czy artykułami do nauczyciela i do ucznia.

Ideologię pisma zilustrują najlepiej wyjątki z odezwy Wacława Sieroszewskiego „Do uczniów kończących w roku 1917 szkoły elementarne:

„Dzieci kochane"!

„...Od was zależeć będzie w znacznej mierze i o to starać się powinniście przez całe długie wasze pracowite życie, aby w tej Polsce wolnej było dobrze wszystkim, aby nikomu nie działa się krzywda, aby brat nie uciskał brata, aby prawa były sprawiedliwe i dla wszystkich równe, aby dzieci wasze nie uczyły się tak mało, jak wy, nie potrzebowały tak wcześnie zaprzęgać się do pracy na chleb, lecz żeby każdy obywatel i obywatelka państwa polskiego mogły być w dzieciństwie syte, obute, odziane, kończyć wszystkie szkoły, nawet uniwersytet, aby wchodziły w życie zdrowe, rozumne, wesołe..."

Pismo o tak wyraźnym kierunku ideowym usiłowało wszelkimi środkami czytelników swych bezpośrednio lub przez wskazówki poddawane nauczycielom uczyć, kształcić, oddziaływać na nich moralnie i uczuciowo.

Każdy numer był przygotowywany, obmyślany z góry, artykuły zamawiane u odpowiednich autorów, którzy potrafili podawane wiadomości naukowe wiązać ze sprawami życia i dnia bieżącego. Były więc w piśmie artykuły aktualne takie jak: Polskie szkoły, Polska zjednoczona, wolna, ludowa. Bohaterowie pracy. Praca robotnika. O pokój świata. Śląsk z Polską złączony. Górnicy śląscy. Święto majowe. Ku czci Proletariatczyków. Były artykuły retrospektywne: 29 listopada 1830 r. Powstanie styczniowe 1863. Powstanie Kościuszkowskie. Konstytucja 3 Maja. Komisja Edukacji Narodowej i inne.

Wszystkie w duchu demokratycznym i rewolucyjnym.

Ta sama idea kieruje wyborem artykułów biograficznych takich jak: O Stanisławie Staszicu. O Józefie Wybickim. O generale Dąbrowskim. O Janie Dekiercie. O Bolesławie Limanowskim. A obok: o Mikołaju Koperniku. O Ludwiku Pasteurze. O Newtonie. O Stephensonie.

Specjalne numery ukazywały się po śmierci wielkich pisarzy: Sienkiewicza, Żeromskiego, Reymonta, Kasprowicza. Ze szczególną starannością przygotowywane bywały numery okolicznościowe: wakacyjne, rocznicowe itp. traktowane nie tradycyjnie i zdawkowo, lecz wykorzystane dla celów ideowych pisma.

Specjalnością pisma były cykle umieszczane stale i zachowujące ciągłość porozumiewania się autora z czytelnikami.

Jednym z takich cyklów był dział pedagogiczny pt. „Z naszej szkoły" prowadzony przez Janinę Mortkowiczową pod inicjałami J. M. przez cały czas trwania pisma i podający w łatwej formie opowiadań na poziomie dzieci ze szkół powszechnych wskazówki do zajęć i rozrywek pozaszkolnych z wyraźnym celem kształcącym. Autorka korzystała w nich między innymi z doświadczeń nowej pedagogiki zagranicznej.

Pogadanki krajoznawcze przede wszystkim o Warszawie pisał Aleksander Janowski w cyklu „Czytajcie miasto". Pogadanki przyrodnicze Maksymilian Heilpern pt. „Poznawajmy przyrodę", Stanisław Pasner w swoich sobotnich gawędach prof. H. Bezmaskiego i artykułach takich jak: „Związki dobroci", „Praca radosna" poruszał tematy społeczne i etyczne.

W dziale naukowym współpracowały stale takie wybitne siły, jak: Wacław Nałkowski, Bolesław Hryniewiecki, Jan Krassowski, Michał Siedlecki, Stanisław Lencewicz, W. Haberkantówna.

W pierwszych rocznikach pisma ukazywały się fenomenalne pod względem znajomości dziecka, mądrości, nieporównanego wdzięku felietony polityczne Janusza Korczaka „Co słychać na świecie".

Świetne pióro Korczaka zasilało zresztą stale pismo opowiadaniami na tematy społeczne i pedagogiczne. Na szczególną uwagę zasługiwało znakomite opowiadanie „Blizna" o prześladowaniach ucznia-Żyda przez kolegów.

Stefania Sempołowska oprócz pracy redaktorskiej, którą pojmowała między innymi, jako inspirowanie, drukowała niemal w każdym numerze artykuły niepodpisane lub podpisywane inicjałami S. S. Spod jej pióra wyszły artykuły takie, jak: Z ziemi pruskiej, O wyborach, Majowe święta, Wiosna ludów, Wiosna w ogrodzie więziennym (Notatki Róży Luksemburg z więzienia we Wronkach) i wiele innych. Tematy tych artykułów nie wymagają komentarzy.

Największą troską otoczony był dział literacki. „Pragniemy w piśmie naszym dawać tylko rzeczy piękne i utwory o pierwszorzędnej nieprzemijającej wartości" — tak określiła swoje plany redakcyjne Sempołowska. Toteż znajdujemy tu liczne utwory Marii Dąbrowskiej, przeważnie nowele i opowiadania. Poza tym pisywała Dąbrowska artykuły biograficzne i spółdzielcze: „Wielka mądrość czasów, czyli spółdziałanie z hasłami", „Nikt nikomu nie jest obcy". „Wszyscy są braćmi". „Jeden za wszystkich". „Wszyscy za jednego". Ze spisu poezyj drukowanych „W słońcu" można by ułożyć antologię najcelniejszych wierszy polskich. Znajdujemy tu obok Berwińskiego i Romanowskiego, obok Mickiewicza i Słowackiego, Norwida i Wyspiańskiego, Lenartowicza, Pola i Syrokomli, Ujejskiego, Deotymy i Konopnickiej, także Kasprowicza i Staffa, Ostrowskiej i Skamandrytów. Wiersze: Tuwima „Pieśń o białym domie", oraz Broniewskiego „Robotnicy", przedrukowywane dziś w pismach jako sztandarowe, drukowane były „W słońcu" w latach dwudziestych.

W dziale beletrystyki spotykamy przedruki najcenniejszych utworów literatury dawnej i nowej pisarzy takich, jak: Prus, Sienkiewicz, Żeromski, Dygasiński, Orzeszkowa, Reymont, Orkan, Kaden i inni.

Na dobór przekładów z literatur obcych zwrócona była szczególna uwaga. Znajdujemy więc w rocznikach pisma utwory: Tołstoja, Gorkiego, Korolenki, France'a, Lagerlöff, Robindrandta Tagore, Oskera Wilde'a i innych.

Wybór utworów literackich nie był bynajmniej przypadkowy. Każdy utwór był przystosowany do całości numeru i miał znaczenie kształcące zarówno artystycznie, jak ideowo.

Niezależnie od tych utworów wielkiej literatury ukazywały się w piśmie nowe powieści młodzieżowe w dalszych ciągach, które poza swą wartością literacką i wychowawczą interesowały fabułą i dawały szlachetną rozrywkę. Drukowano więc doskonałe powieści Zofii Żurakowskiej (Tamta strona domu), Benedykta Hertza (Henryś), Janusza Korczaka (rozdziały z powieści „Bankructwo małego Dżeka"). Angielską humorystyczną powieść: „Poszukiwacze skarbów" i i.

Tak wyglądało pismo wydawane w Polsce przez lat dziesięć dla dzieci i nauczycieli.

Poza nielicznymi dowodami uznania ze strony pracy postępowej i radykalnej, oraz lewicy nauczycielskiej nikt pisma nie popierał, ani nie zalecał. Trwało własnym upartym wysiłkiem. Wreszcie z miesiąca na miesiąc częściej się ukazywać rzadziej, drukować na coraz lichszym papierze, zmniejszać swą objętość, wreszcie upadło.

Janina Mortkowiczowa

*) Fragment z późniejszego wydania książkowego pt. „Wszystko i nic".

(Dokończenie ze strony piątej)

O 7 rano obudził się nagle i przypomniał sobie: należy przybliżyć człowieka prostego i skromnego, który zawdzięczałby mu wszystko, a innych ludzi usunąć.

Zasnął znowu.

XX

Rano Paweł Pietrowicz przeglądał rozkazy i pułkownik Kiże został nieoczekiwanie mianowany generałem. Był to pułkownik, który nie żebrał o majątek, nie pchał się uczepiony cudzego rękawa do zaszczytów, nie był samochwałą, ani krzykaczem. Pełnił służbę spokojnie i bez utyskiwań.

Paweł Pietrowicz zażądał jego rejestru personalnego.

Zatrzymał się nad papierem, z którego wynikało, że pułkownik, będąc jeszcze podporucznikiem został zesłany na Sybir za okrzyk „biada" pod oknem cesarskim. Cesarz przypomniał coś sobie jak przez mgłę i uśmiechnął się. Była tam jakaś drobna historia miłosna.

Jakże by się teraz przydał człowiek, który by we właściwym czasie krzyknął pod oknem „biada". Paweł Pietrowicz obdarował generała Kiże majątkiem i tysiącem dusz.

Tegoż wieczoru imię generała wypłynęło na powierzchnię. Generał Kiże stał się przedmiotem rozmów.

Ktoś słyszał, jak cesarz powiedział hrabiemu Palenowi, z uśmiechem, którego dawno już nie widziano:

— Wstrzymać się z obarczaniem go dywizją. Potrzebny jest do spraw ważniejszych.

Nikt, prócz Beningsena, nie chciał przyznać się, że nie wie niczego o generale. Palen przymrużał oczy.

Wielki szambelan Aleksander Lwowicz Naryszkin przypomniał sobie generała:

— A jakże, pułkownik Kiże... pamiętam doskonale. Smalił cholewki do Sandunowej...

— Na manewrach pod Krasnym...

— Zdaje się, że to krewny Olsufjewa, Fiodora Jakowlewicza...

— Skądże znowu, hrabio. Pułkownik Kiże jest rodem z Francji. Ojca jego zgilotynował motłoch w Tulonie.

XXI

Wypadki toczyły się szybko. Generał Kiże został wezwany do cesarza. Tego samego dnia doniesiono cesarzowi, że generał ciężko zaniemógł.

Paweł Pietrowicz chrząknął ze złoś-

cią i ukręcił guzik Palenowi, który przyniósł tę wiadomość.

Powiedział chrapliwie:

— Umieścić w szpitalu, wyleczyć. A jeżeli, mój panie, nie wyleczą...

Lokaj cesarski jeździł dwa razy dziennie do szpitala i dowiadywał się o zdrowie generała.

W wielkiej sali szpitalnej, za szczelnie zamkniętymi drzwiami krzątali się lekarze, drżąc jak gdyby sami byli chorzy.

Trzeciego dnia wieczorem generał Kiże zmarł.

Paweł Pietrowicz już się nie złościł. Spojrzał na wszystkich zamglonym wzrokiem i odszedł do swych pokoi.

XXII

St. Petersburg długo pamiętał pogrzeb generała Kiże, a niektórzy kronikarze zachowali nawet dla potomnych szczegóły uroczystości.

Pułk szedł ze zwiniętymi sztandarami. Trzydzieści karet dworskich zamykało orszak żałobny. Tak chciał cesarz. Na poduszkach niesiono ordery.

Za czarną, ciężką trumną szła żona, prowadząc za rękę synka. Płakała.

Gdy kondukt przeciągał koło zamku Pawła Pietrowicza, sam cesarz wyjechał powoli na most zwodzony i wzniósł obnażoną szpadę.

— Moi najlepsi ludzie umierają.

Wreszcie, kiedy minęły go już karety dworskie, powiedział po łacinie:

— Sic transit gloria mundi.

XXIII

Tak został pochowany generał Kiże, osiągnąwszy w życiu wszystko, co było możliwe, wypełniony po brzegi miłością i przygodą miłosną, chłostą i zesłaniem, łatami służby, rodziną, niespodzianą łaską cesarza i zawiścią dworzan.

Nazwisko jego znajduje się w „Nekropolu St. Petersburskim", niektórzy zaś historycy wspominają niekiedy o generale.

W „Nekropolu St. Petersburskim" nie spotyka się nazwiska zmarłego porucznika Siniuchajewa.

Zczezł on bez śladu, rozsypał się w proch, w mierzwę, jak gdyby nigdy nie istniał na świecie.

A Paweł Pietrowicz zmarł tego samego roku, co generał Kiże, — jak ogłoszono urzędowo — wskutek apopleksji.

Jurij Tynianow
przełożyli **Ziemowit Fedecki**
i **Tadeusz Mongird**

KONIEC

Z RYSUNKÓW OLGI SIEMASZKOWEJ

Ilustracja do książki „Alicja w krainie czarów" Lewis Carrolla

HALINA KONECZNA

Na marginesie jednej książki

W zeszłym roku zwrócił się do mnie uczeń jednego z liceów warszawskich z prośbą o wskazanie książek, z których mógłby się uczyć gwar polskich. „Mowę ludu polskiego" prof. K. Nitscha, a nawet jego „Dialektykę języka polskiego" znał już dobrze i na podstawie tych opracowań i dołączonych do nich map dialektologicznych wyrysował sobie kilka nowych mapek, wyznaczających zasięg różnych nazw w gwarach.

To wszystko mu jednak nie wystarczało. Chciał mieć do czynienia z żywymi gwarami, chciał je sam poznawać, oceniać, kwalifikować i określać ich stosunek do języka literackiego.

Z najwyższym zainteresowaniem pytał, czy w warszawskim języku ulicznym można wyróżnić pewne odrębności uzależnione od dzielnicy miasta — tak jak to ma miejsce w Londynie. Wiadomości o odmianach slangu londyńskiego czerpał z wystawionego w Warszawie „Pigmaliona" Bernarda Shaw.

Interesowało go mnóstwo zagadnień. Chciał się dowiedzieć: czy w naszej literaturze mamy dużo utworów pisanych gwarą, prosił o wyjaśnienie czy tetmajerowskie opowieści ze zbioru „Na skalnym Podhalu" napisane są „prawdziwą" gwarą góralską, czy bohaterowie epopei Reymonta mówią „czystym" dialektem księżackim, pytał o poetów kaszubskich itd. itd.

Podczas tej rozmowy przyszło mi na myśl, iż zainteresowania młodzieży naszej gwarami polskimi nie są prawie wcale uwzględniane w literaturze dla niej przeznaczonej. Widocznie większość pisarzy sądzi dotychczas, iż gwary ludowe — to jakieś skażone odmianki języka warstwy inteligenckiej i dlatego nie należy ich wprowadzać do książek przeznaczonych dla młodzieży. Wystarczy, jeśli osoby, mające reprezentować nasz lud, używają od czasu do czasu wykrzyknika lub wołacza np. „olaboga", „o rety", „ajdze", „kumotrze"...

Niedawno „Czytelnik" wydał powieść Marii Kann „Góra Czterech Wiatrów", w której sprawa gwary potraktowana została szerzej. Autorka wprowadza gwary ludowe, żargon złodziejski, oparty na „wiechu" warszawskim i tryskający humorem i dowcipem język harcersko-żołniersko-lotniczy. Z naszych gwar ludowych spotykamy w tej książce dialekty: śląski i lubelski.

Powieści, które mają na celu kształcenie charakterów młodzieży i poszerzenie wiadomości o kraju — muszą być ciekawe i zrozumiałe — dlatego też nie mogą podawać gwar naszych z precyzyjną dokładnością obowiązującą specjalistów dialektologów. Należy tylko uwypuklić cechy najbardziej charakterystyczne. I tak właśnie postępuje autorka. Oto energiczna Antkowa Karasiowa, rodem ze wsi Karczmiska woj. lubelskiego, która postanowiła czuwać nad gospodarstwem gromadki bohaterów z „Góry Czterech Wiatrów" — konsekwentnie mazurzy. „Oi, najładniejse to su na świecie Karcmiska".

Zachowuje *a* i *e* ścieśnione, które brzmią w jej ustach jak *o*, *i* (lub *y*) np. „Ale to nieprowda".

Samogłoskę *ą* — wymawia jak *u* nosowe, które na końcu wyrazu przechodzi w zwykłe *u* np. „Piecune" tu scodroki, powiadaju chłopoki". Antkowa używa też pewnych specjalnych form deklinacyjnych jak np. *woma* t. zn. wam, lub też końcówki *e* w dopełniaczu niektórych rzeczowników żeńskich np. *z pszenice, ziemie*. Wreszcie posługuje się typowymi zwrotami i wyrazami cechującymi mowę jej wsi, a więc np. „*Musi* ty wariat! *Niechoj* ji, bo się zmency".

Z piosenek i opowiadań Antkowej dowiadujemy się o zabawach i niektórych obyczajach panujących we wsiach lubelskich, które jej wydają się najpiękniejszymi na świecie.

W podobny sposób zapoznajemy się w tej książce z gwarą śląską. Język rodziny Kłosków ze wsi Maczki powiatu Prudnickiego posiada wszystkie najważniejsze cechy wymawianiowe i gramatyczne śląskie, które w zupełnie zadawalający sposób charakteryzują tę odmienną i ciekawą gwarę. Oczywiście nieco silniejszy nacisk kładzie autorka na odrębne słowotwórstwo śląskie, wprowadza więc np. *stromiki* (krzewy), *wroniaczki* (kwiaty), *furgać* (latać) lub też takie formy jak: *mamuliczka, starziki, zaroski, wdycki* itd.

W zastosowaniu obu gwar autorka wykazuje duże wyczucie umiaru, nie przeciąża zbyt drobnymi faktami dialektycznymi, mimo że — jak łatwo się zorientować — obie gwary zna dobrze. Jedyne błędy, jakie zauważyłam, to wprowadzenie o do bezokolicznika na *ać*. Inne drobiazgi należy zapewne zapisać na karb niedokładności korekty.

Nadzwyczaj łatwo radzi sobie autorka z językiem grupy szabrowników. Choć nigdzie wprost nie powiedziano, że ludzie ci przybyli na „robotę" z Warszawy, od razu orientujemy się, że mamy do czynienia z autentycznym „wiechem" stolicy. Autorka nie zapomniała nawet o miękkiej wymowie spółgłoski *sz* w „wiechu" warszawskim (choćby w wyrazie „*wszyscy*").

Trudniej byłoby omówić bogaty a ciągle zmieniający się język chłopców stanowiących załogę szybowiska. Mieszają się w nim bowiem żargon uczniowsko-harcerski i żołniersko-powstańczy z wyrażeniami fachowymi lotników i gwarą ulicy warszawskiej. W dłuższych opowiadaniach pamięta autorka, o częstym stosowanym w języku młodzieży odwracaniu zwykłego porządku wyrazów w zdaniu np. „a więc idę ja..." „patrzaja" itd.

W ogóle indywidualizacja języka poszczególnych bohaterów jest starannie zaznaczona i przestrzegana. Nawet malutki Lesio sierota, który za „Górę Czterech Wiatrów" przyjeżdża w przyczepce motocyklowej swego opiekuna, mechanika szybowcowego, mówi także swoistym językiem trzyletniego dziecka.

Umiejętne wprowadzenie gwar ludowych, „wiechów" z różnych środowisk społecznych i języka naszych dzieci ogromnie ożywia książkę i podnosi jej wartości artystyczne, jednocześnie zaś rozbudza w młodzieży naszej w całkiem naturalny sposób zainteresowania językoznawcze i dialektologiczne.

Te krótkie uwagi nie wyczerpują całkowicie tematu. Chciałam tylko na przykładzie jednej książki zwrócić uwagę autorów na niewyzyskane możliwości, a krytyków zachęcić, aby częściej omawiali zagadnienia języka i stylu w książkach przeznaczonych dla młodzieży.

Halina Koneczna

KSIĄŻKI · KSIĄŻKI ·

Krzysztof Kolumb odkrywca

Tadeusz Peiper. Krzysztof Kolumb odkrywca. Warszawa, „Czytelnik", Klub Dobrej Książki, 1949; str. 265.

Nowo wydana książka Tadeusza Peipera o Kolumbie może sprawić zawód zarówno zbieraczom anegdot jak i pedantowi, lubiącemu by, w pracy historycznej każde twierdzenie było poparte cytatami lub odsyłaczami. Z przyjemnością natomiast zapoznają się z nią ci, których interesuje proces powstawania wielkich wynalazków i odkryć.

Autor, nie unikając zresztą ani ogólnego omówienia źródeł historycznych odnoszących się do Kolumba ani hipotetycznej rekonstrukcji literackiej życia Kolumba z okresu, do którego źródeł tych brak, podaje przede wszystkim pewną gotową interpretację postępowania i losów swego bohatera. Słusznie podkreśla, że wielkie odkrycia (pomijając wydarzenia o charakterze zupełnie przypadkowym) są wynikiem nie tyle jakichś niezwykle pomysłowych i subtelnych spekulacyj co umiejętnością wysnuwania wniosków z własnych założeń oraz wyzwolenia się od myślowych konwencyj środowiska. Z drugiej strony zwraca uwagę na fakt, że w wypadku oparcia się na niezupełnie trafnych przesłankach to logiczne wyciąganie konsekwencyj utrudnia właściwą, zgodną z doświadczeniem, interpretację faktów — w wypadku Kolumba zrozumienie, że odkryte przezeń kraje nie stanowią części Azji.

Procesy intelektualne związane z dokonaniem odkrycia nie wyczerpują jednak zagadnienia. Autor podkreśla wpływ sytuacji politycznej na stosunek protektorów Kolumba do jego planów i omawia zalążkowe problemy polityki kolonialnej, jakie wyłoniły się natychmiast po pierwszych odkryciach. Tłumaczy również przyczyny intryg i akcyj skierowanych przeciw Kolumbowi, i wyjaśnia, że nieudolność wielkiego odkrywcy w ich zwalczaniu wynikała z tego, że był on zbyt dalekowzroczny, zbyt pochłonięty doniosłością sprawy, aby móc zrozumieć, że jego dzieło może być zwalczane dla błahych powodów, małostkowych ambicyj i osobistych zawiści.

Tok opowiadania i argumentacji płynny i sugestywny, z tym, że dwa pierwsze rozdziały, napisane stylem vies romancées, choć dobrze świadczą o zdolności autora do plastycznego odtworzenia postaci bohatera, ujęciem swym może za bardzo odbiegają od reszty utworu.

Olgierd Wojtasiewicz

TYDZIEŃ BIBLIOGRAFICZNY

FILOZOFIA

Georges Politzer. Wykład filozofii i zasady podstawowe. Przełożył **Jerzy Adamski**. Okładkę projektował **Aleksander Bernaciński**. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1949; str. III i 1 nl. i 247 i 1 nl.

HISTORIA

Jan Ptaśnik. Miasta i mieszczaństwo w dawnej Polsce. Wydanie drugie. Okładkę projektował **Aleksander Bernaciński**. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1949; str. VII i 1 nl. i 438 i 2 nl.

MUZYKA

Jarosław Iwaszkiewicz. Chopin. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1949; str. 107 i 1 nl. i 1 knl.

Zofia Lissa. Zarys nauki o muzyce. Z 335 przykładami. II wydanie. Kraków, Polskie Wydawnictwo Muzyczne, 1948; str. 313 i 3 nl.

SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZO-OŚWIATOWA
»CZYTELNIK«

Nowości – Wznowienia

ALINA I CZESŁAW CENTKIEWICZOWIE

ODARPI SYN EGIGWY

Okładka K. M. Sopoćko

str. 164
zł 300

CZESŁAW JACEK CENTKIEWICZ

WYSPA MGIEŁ I WICHRÓW

Okładka K. M. Sopoćko

Wyd. 4
poprawione i uzupełnione

str. 328
zł 600

JAROSŁAW IWASZKIEWICZ

NOWA MIŁOŚĆ
i inne opowiadania

Wyd. 3

str. 238
zł 350

HENRYK SZYPER

ADAM MICKIEWICZ

Poeta i człowiek czynu

Zarys popularny

Wyd. 2

str. 344
zł 450

MARIA RZEUSKA

POZORNA KRZYWDA „PAŁUBY"

Nowe, od r. 1903 drugie wydanie „Pałuby" Irzykowskiego *) jest faktem, przy którym warto się zatrzymać i trochę zamyśleć. Nie żeby ta powieść była jeszcze dla współczesnego czytelnika wymowna i w jakimkolwiek względzie aktualna, wręcz odwrotnie — jej problematyka znacznie już odstała; mimo to utwór jest bardzo ciekawy jako dowód, że Irzykowski powieściopisarzem nigdy nie był, że był natomiast przenikliwym umysłem i odważnym krytykiem. Ale i krytykiem był rodzaju specjalnego. Cierpiał na brak zmysłu i zrozumienia dla piękna, wdzięku i humoru, odczucia pulsujących spraw życia społecznego, potrafił natomiast sięgać w samą głąb poruszanych zagadnień, przeprowadzać analizę aż do najdrobniejszych składników. Intelektualne prawie wyłącznie stanowisko w każdej sprawie zasłaniało mu widoki realnego świata. „Klerkizm", który sobie tak cenił, a raczej pewna odmiana „klerkizmu", dziwnie surowa, poważna, nieustępliwa była istotnie jednym z jego najznamienniejszych rysów.

Żeby dotrzeć do prawdy, musimy wydobyć się spod wpływu sugestyj, którym, jak się zdaje, uległ Kazimierz Wyka, pisząc swój obszerny rehabilitujący wstęp. Ich źródłem jest legenda o „krzywdzie Irzykowskiego", przez niego samego stworzona, utwierdzona zaś ostatecznie w latach powojennych pod wpływem śmierci pisarza i zatraty jego dorobku pod gruzami powstańczej Warszawy.

Wyka, jak zresztą wielu, jest przekonany, że Irzykowskiego nigdy nie doceniono, w dwudziestoleciu pomijano, przemilczano, odsuwano. „Pałubę", że „jak najbardziej odbiegała od postulatów zwycięzającego wówczas stylu prozy młodopolskiej", zabili krytycy typu Feldmana i Potockiego, tymczasem zaś „w szlachetnej chęci uczynienia zadość krzywdzie" pyta Wyka nie bez patosu: „Jak wymierzyć sprawiedliwość dziełu, które mogło się stać ożywczym rozsadnikiem fermentu, a nim nie zostało?... Jak dowieść, że zalążki tego drzewa, chociaż nie zdołały się zawiązać, i w pąku zostały zmrożone, zapowiadały zdrowy owoc?".

Treści tej metafory należy zaprzeczyć. „Pałuba", jak na rodzaj elitarnej, trudno czytelnej powieści, miała liczne odgłosy, została przyjęta z rzetelną dobrą wolą. Odczytano ją właściwie, oceniono trafnie od razu. I nic dziwnego. Publiczność modernizmu jeszcze bardziej „ciemne", „trudne", „skomplikowane" utwory umiała odczytywać, a nawet nieraz gustowała w takiej lekturze. Cóż dopiero krytycy! Prawda — zwłaszcza na początku — w kilku wypadkach nie oszczędzono autorowi pewnej ilości ostrych uwag, ale przecież zawsze z dużymi też pochwałami. Feldman, o którym Wyka tak pogardliwie się odzywa, twierdził wprawdzie, że powieść jest rezultatem „wysiłku mózgowca, który... pragnie drogą wyrozumowanych konstrukcyj stworzyć dzieła sztuki", ale widział w niej też „oryginalność metody w ukazywaniu dwoistości człowieka". Antoni Potocki choć pisał, że „Pałuba" jest „...i pozostanie w literaturze jako ze wszechmiar godny studiów dokument błędu artystycznego w obliczu prawdy poszukiwanej popełnionego", to jednak wskazywał na nią, jako na jedną „z najcenniejszych książek ostatnich lat".

Legendę o swojej krzywdzie zaczął Irzykowski szerzyć wcześnie, bodaiże natychmiast po wyjściu „Pałuby". W późniejszych studiach i artykułach dochodziła już do głosu często. W dwudziestoleciu zaczęli w nią wierzyć prawie wszyscy. Wyraża się ona w przeświadczeniu, że myśl innych doceniana była wcześniej, popularyzowana szerzej, umysłami owładała skuteczniej. Tu ma źródła książka o Boyu Żeleńskim „Benjaminek". Uczuciowy motyw krzywdy, troska o to „kto lepiej", „kto pierwszy" pojawia się już w „Pałubie". Na sądy ujemne reagował Irzykowski mocno i boleśnie, chociaż nigdy bez godności osobistej. Pierwszą, rzeczywiście niezbyt łagodną recenzję Brzozowskiego, uważał za „powierzchowną i małoduszną", a przedrukowując ten sąd w 1913 roku w zbiorze „Czyn i słowo" nie wspomina, że Brzozowski poświęcił mu „Współczesną powieść polską" „z prośbą, by przypisanie pracy tej jako hołd należny autorowi Pałuby przyjąć raczył"... że w jej rozdziale specjalnym znajdowały się słowa najwyższych pochwał z epitetami „nieskończenie drogi" i „nieskończenie cenny". We wszystkich późniejszych recenzjach i studiach aż do ostatnich lat przed drugą wojną światową chętniej w tym utworze podkreślano zalety niż wady, słusznie większą wagę przypisując zawartemu w nim ładunkowi intelektualnemu niż stronie artystycznej.

Irzykowskiego osobiście nie znałam, ale rys egotyzmu w jego książkach występuje tak bez osłon, że zastanawiał mnie zawsze i zauważyć go musi każdy. Utyskiwania prawie nie miały podstaw, legendę jednak szerzyły. Jej rezultatem jest też zdanie Wyki, że Irzykowski „przez całe życie nie otrzymał ani jednej nagrody literackiej, a jedyny hołd zbiorowy jakiego zaznał za życia... złożyli mu... młodzi w specjalnym numerze „Pionu". Dlaczego ani słowa o Akademii Literatury, której członkiem był od samego początku? Na tamte czasy był to hołd najwyższy — nie wchodzę w ocenę instytucji — a i nagroda materialna nie taka znów ostatnia. Warto przypomnieć, że pominięto Świętochowskiego, w 1933 roku jeszcze w pełni sił umysłowych. Czy Irzykowski nie był popularny? Był popularny. Po Żeleńskim najpopularniejszy to krytyk dwudziestolecia. Sądzę nawet, że zebranie w książkę jego artykułów z ostatnich lat przed wojną byłoby czynem jeszcze może pożyteczniejszym niż wydanie „Pałuby".

Irzykowski jest dostatecznie wybitnym krytykiem, żebyśmy mogli postąpić jak on w stosunku do innych: uwolniwszy się spod sugestyj legendy spojrzeć mu w twarz i odgarnąć słabizny od rzeczywistych wartości jego dorobku. Sprawa nie prosta, bo był to umysł skomplikowany i splątany. Powiedzmy od razu: „Pałuba" to zjawisko twórcze mniej niż średniej miary, co spostrzeżono dawno, ale Irzykowski i w komentarzach do niej i przy innych okazjach twierdził, że nie o to mu wcale chodziło i drwi sobie z kultu dla „talentyzmu".

Rzeczywiście widzieć w „Pałubie" tylko powieść nie jest rzeczą słuszną, utwór to bowiem „dwuwarstwowy", zawierający studium biograficzne i rozprawę z zakresu teorii powieści oraz techniki warsztatu poetyckiego. Warstwa powieściowa ma być najoczywiściej przykładem właściwego, praktycznego zilustrowania teorii.

Swój sposób rozwiązania uważa Irzykowski (najniesłuszniej) za przeciwstawny w stosunku do modernistycznego. Płyciznom naskórkowych poetyczności pragnie przeciwstawić szorstką i surową wstrzemięźliwość stylową, powierzchowności traktowania bohatera powieściowego, mroczne i powikłane głębie przeżyć psychicznych. Duszoznawstwo Irzykowskiego streszcza się w odkryciu, że „u prawdy jest kłamstwo na służbie".

Oto treść utworu. Główny bohater — Piotr Włosek, dziecko wiejskiego kowala, drogą adoptacji dziedziczy majątek i nazwisko Strumieńskich. Wyrósłszy z dzieciństwa staje się estetyzującym snobem, ni to artystą ni to konsumentem „sztuki", przy czym poza lekkimi zahamowaniami nie przejawia żadnych uraz „klasowych", żadnych kompleksów Judyma. Z podróży po Włoszech przywozi niemiecką malarkę Angelikę, z którą przeżywa epopeję miłosną tak wielkiego napięcia, że w pewnym momencie przyrzeka jej wierność pamięci nawet gdyby zmarła, nawet gdyby się po raz drugi ożenił. Angelika popełnia samobójstwo, Strumieński żeni się z Olą, przeciętną córką ziemiańską, ma z nią dzieci, kocha ją i dzieci. Przedstawiony w powieści okres pożycia z Olą wynosi lat około dziewięciu, a jedyną pracą, jaką się Strumieński przez ten czas parał, było przyglądanie się, jak wznoszono dla niego pałac, nikomu, nawet jemu samemu niepotrzebny. Mówię o tym pałacu, bo ta sprawa wypełnia w sposób niezrozumiały duży szmat utworu. Cały poza tym świat duchowy i umysłowy Strumieńskiego obraca się nieustannie wokół jednego problematu — miłości do nowej żony i komplikacyj, które ta miłość wnosi do miłości pierwszej. Swą dawną żonę, Angelikę, otacza z początku kultem, wkrótce jednak zaczyna ją coraz bardziej zdradzać na rzecz drugiej żony, najpierw nieświadomie, potem z doskonałą świadomością i premedytacją, by w końcu zbezcześcić jej pamięć ostatecznie. W dalszej kolei rzeczy zdradza również i Olę — co prawda tylko „w chęciach", „w myśli" raczej, niż realnie. Wszystkie zdrady opisane zostały nie od strony rzeczywistego przebiegu faktów, lecz głównie w perspektywie „przeżyciowej", „psychologicznej", chodzi tu bowiem niemal wyłącznie o analizę tzw. „podświadomości". Cała skąpa fabuła przetkana jest nieskończoną ilością drobiazgowych opisów, przedstawiających kulisy psychiki bohatera, przenikniętych interpretacjami autorskimi. Opisy są wprawdzie przenikliwe i poznawczo czasem ciekawe, nierzadko przekonywające, ale pisarsko stracone. Ich pedantyzm analityczny, nużąca jednostajność, nawet dociekliwość dowodzą braku inwencji poetyckiej, twórczej jałowości i ubóstwa ekspresji.

Zarzut drugi — w stosunku do modernizmu w znacznej mierze trafny, mówiący o przesadzie „gierek poetyczności", które są zwykle tanim środkiem schwycenia czytelnika na wędkę, ma w powieści poparcie już tylko w negacji, bez pozytywnego rozwiązania. O ile w postaci Strumieńskiego zarysowuje się, choć wymęczony, obraz realnej, odmiennej niż bohaterowie dotychczasowych powieści, postaci, o tyle w zakresie stylu i języka Irzykowski potrafił zdobyć się tylko na manifestacyjne unikanie „pseudopoezji". Stąd książka usiana jest wyznaniami autora, podobnymi do poniższej, komentującej objawy przywiązania Strumieńskiego do synka: „Nie lubię takich epizodów poetycznie wyzyskiwać, i tam, gdzie kto inny może na moim miejscu roztoczyłby wachlarz stylu, ja poprzestaję na napisaniu itd." Tkwi w tym naturalnie nieporozumienie i niezrozumienie realnej działalności twórczej, bo fałszywej poetyczności nie tępi się przez unikanie wszelkiej, lecz przez tworzenie rzetelnej. Zamiast wyrzuconych opisów przyrody, i tam, gdzie rezygnował z rozwinięcia czy głębszego naświetlenia poetyckiego, Irzykowski nie wprowadził nic. W rezultacie powieść jest oschle uproszczona, natrętnie mózgowa, pełna dołów i pustek, programowych wprawdzie, lecz dziwnie nużących.

I właśnie brak największy Irzykowskiego na tym polega, że nie czuł prawdziwego, prostego piękna. Miał rzadko u nas spotykany zmysł dla sięgającej dna analizy, ale nie potrafił opisać tego, co sprawia, że utwór nie jest tylko składanką form stylowych i odmian typów bohaterów powieściowych, lecz pełnym dziełem poetyckim. Niektórzy skłonni są twierdzić, że ukazywał on prawdę ludzkiej duszy przeciwstawioną złudzie idealizacji, skłonni byliby więc klasyfikować „Pałubę" jako powieść ciążącą ku realizmowi. Warto by jednak zbadać na rzecz jakiej to „prawdy" własnej negował Irzykowski złudy idealistyczne.

Przy powierzchownej już kontroli można stwierdzić, że jego prawda miała charakter najoczywiściej pesymistyczno-naturalistyczny, w żadnym wypadku realistyczny. Przeciwstawianie się idealizmowi na rzecz ujęcia naturalistycznego, w epoce Młodej Polski tak samo było na czasie i żywe, jak wszelkie „poetyzacje". Strumieński nie tak znów daleko odskoczył od bohaterów Przybyszewskiego albo Berenta. Toteż nic dziwnego, że ówcześni krytycy bynajmniej żadnej obcości w „Pałubie" nie odczuwali. Irzykowskiemu nie mieli za złe walki z fałszywą poetyzacją i nie bronili jej, a dla „Pałuby" bez żadnego trudu znaleźli miejsce w swych podziałach, słusznie nazywając ją „powieścią analityczną". Postać Strumieńskiego rozpylona na tysiąc obcych nam obecnie zmartwień, pełna masek zakładanych i odkrywanych, zanurzona wyłącznie we własnych przeżyciach miłosnych, przylega znakomicie do legionu braci w innych powieściach tego czasu. Twierdzenie, że w podświadomości człowieka tkwią inne motory działania aniżeli te, do których się on przyznaje „nie odbiega u podstaw również zbyt daleko od koncepcyj „nagiej duszy" czy „chuci", a rodzi je ta sama specyficzna ciekawość i chęć ujęcia samej „istoty" duszy ludzkiej, co tak znamiennie cechowało wszystkich prawie modernistów. Natomiast całkowicie nowe jest u Irzykowskiego naświetlenie problemów psychologii freudowskimi teoriami o życiu podświadomości i o erotycznym jej podłożu.

Czy Irzykowski znał Freuda? W „Pałubie" jest tak dużo podobieństw z jego teoriami, że to pytanie nasuwało się niejednemu krytykowi, naturalnie dopiero w okresie dwudziestolecia. Autor zaprzeczał, lecz czyż do lwowskiego uniwersytetu, tak przecież związanego z Wiedniem, nie docierał system przekonań Freuda? Nie potrzebujemy podważać prawdomówności Irzykowskiego, ale różne są drogi przenikania nowych prądów i myśli, nie tylko przez lekturę. Pokrewieństwo jest przecież uderzające i nie w naogólniejszych koncepcjach, twierdzeniach, co można by wytłumaczyć istotnie powstaniem podobnych teoryj w dwu miejscach, ale w sformułowaniach tez i w terminologii psychologicznej. „Świadomość" i „podświadomość", „próg świadomości", podświadome kompleksy („kompleks Angeliki"), „przemianowanie pobudek", „asocjacja wyobrażeń" itd. — oto część przykładów. Freudyzm — wszystko jedno oryginalny, czy zapożyczony — ciąży na „Pałubie" przerostem analizy, jednostronnością naświetlenia psychiki bohatera. Co prawda gubią powieść inne jeszcze, może głębiej sięgające niedowłady. Jest coś przygnębiającego w tym przeszło trzystustronicowym potoku drobiazgowych opisów zdrad popełnianych przeważnie „w myśli", „na terenie psychiki". Nie rozumiem też po co autor tak szeroko i dużo mówił do mniej więcej połowy powieści, że Strumieński był kiedyś dzieckiem chłopa, w jakim celu to wprowadził, jeśli potem rzecz całą zawiesił w powietrzu? Mija się z całym bogactwem problematyki społecznej, która innemu pisarzowi narzuciłaby się przemożnie pod pióro, dała sposobność do związania bohatera z realnością środowiska, z którego wyszedł i do którego trafił, wreszcie umożliwiła zarysowanie własnej postawy. Tymczasem Strumieński żyje i przeżywa w próżni, chociaż został jakby umyślnie, ale bez konsekwencyj, osadzony w samym ognisku spraw społecznych i moralnych. Syn wsi żyje tylko „ołtarzem pamięci" wystawionym zmarłej żonie - kochance i namiastkami „myśli o sztuce". Bez reakcji patrzy, jak kuzyn jego żony maltretuje chłopów. A postarajmy się przeczytać uważnie scenę pokąsania go przez psa i autorskie analizy związanych z tym „cierpień", a także „przewrotów duchowych". W napadzie „litości" usiłuje Strumieński zastrzelić w lesie oparszywiałego, zabłąkanego psa, ponieważ zaś nie trafia do celu, dokonuje na zwierzęciu nędznego, powolnego mordu. Od autora ani słowa interpretacji owej „litości", dużo natomiast szczegółowej analizy wrażeń „bohatera" i potem jego pieszczenia się w chorobie.

Dążę ku końcowi. Jako powieść jest „Pałuba" utworem małej wagi. Nikt jej nie zmroził i nie zabił. Odkrywanie jej jako zapoznanego dzieła nauki jest mało przekonywające, sądzę natomiast, że silnie powinno się uwydatnić jej stanowisko w myśli krytycznej Irzykowskiego. Jest to może jedyna tak obszerna jego książka na jeden teoretyczny temat. Możemy z niej odczytać, jak wyglądała ta ciekawa umysłowość krytyczna ze wszystkimi potężnymi zaletami i w głąb sięgającymi niedowładami.

Zdumiewa w Irzykowskim jeszcze jedno: to mianowicie, że chociaż jako pisarz, nie miał bogatej wyobraźni poetyckiej — to jako krytyk na brak inwencji wcale nie cierpiał. Bogactwo problematyki teoretyczno - literackiej i psychologicznej przelewa się przez brzegi „Pałuby". I nadto — o ile jako twórca jest oschły, zbyt programowy, o tyle jako krytyk odznacza się wybitną siłą napięcia emocjonalnego, żarem, ogniem w poszukiwaniu prawdy, nieustraszonością przed płynącymi stąd konsekwencjami. Tę pasję i dociekliwość odczuli i spostrzegli wszyscy i słusznie za nią przede wszystkim Irzykowskiego cenili. Nie zawsze i nie każda krytyka jest „względna". Zdarza się, że od razu, utrafi w sedno prawdy. Tak właśnie było z oceną wartości „Pałuby".

Maria Rzeuska

*) Karol Irzykowski. Pałuba. Sny Marii Dunin. Wstępem opatrzył Kazimierz Wyka. Warszawa, „Wiedza", 1948; str. XLI i 578 i 3 nlb.

XXII TARGI POZNAŃSKIE

rys. Marek Rudnicki

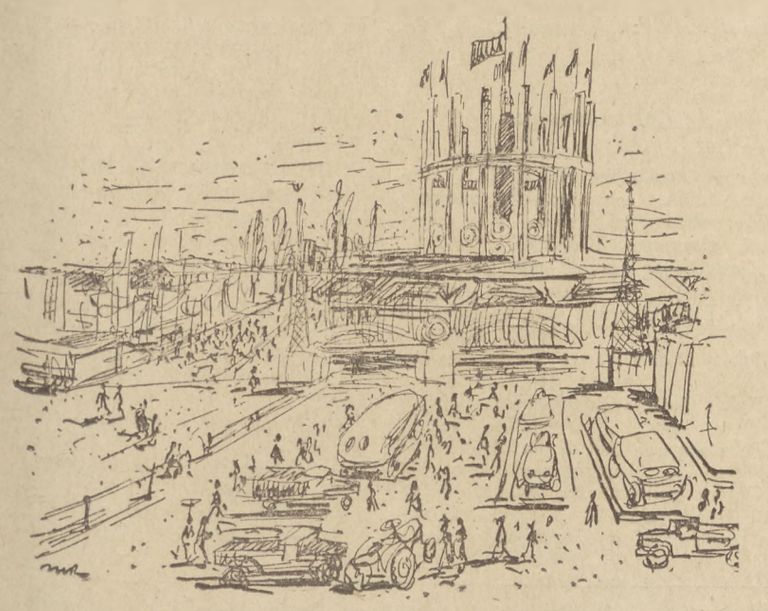

Pawilon ZSRR

Pawilon Ministerstwa Komunikacji

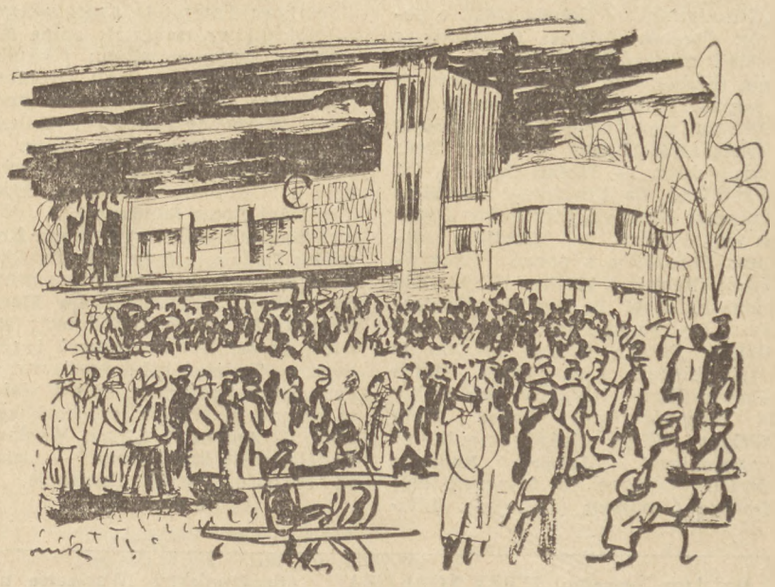

Pawilon Centrali Tekstylnej

ARTUR MARIA SWINARSKI

SARTORIUS I SPÓŁKA

Miejskie Teatry Dramatyczne w Warszawie. *Bernard Shaw:* „Szczygli Zaulek", sztuka w trzech aktach. Przekład: *Florian Sobieniowski.* Reżyseria: *Eugeniusz Poreda.* Scenografia: *Kazimierz Pręczkowski.* — Jubileusz czterdziestolecia pracy artystycznej *Jana Kochanowicza.*

Przed wojną doprowadziły nasze teatry interpretację sztuk Bernarda Shaw do wyjątkowej perfekcji, którą nie mogły się poszczycić nawet teatry angielskie. Doszły do tej perfekcji dzięki te-

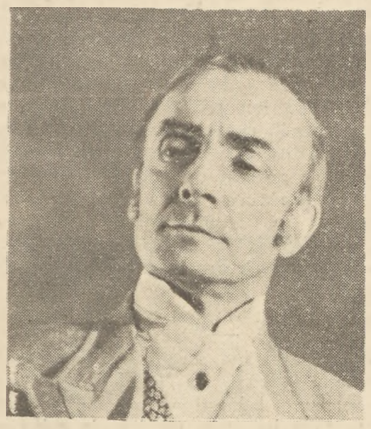

Jan Kochanowicz (Sartorius)

mu, że Shaw bywał na scenach polskich, a szczególnie stołecznych, bardzo częstym gościem, częstszym niż na scenach Londynu. Jeden Teatr Polski wystawił między wojnami piętnaście sztuk Shawa, w tym trzy jeszcze przed Anglią: „Wielki kram", „Matolka z Wysp Nieoczekiwanych" i „Nad przepaścią". (Słusznie powiedział dyr. Szyfman na jednej z konferencji prasowych: „Nie zapomnijmy, jaką rolę odegrało te piętnaście sztuk w zrewolucjonizowaniu publiczności warszawskiej i w przygotowaniu jej do wypadków ostatnich lat"). Tak bogata tradycja odbija się dzisiaj korzystnie na przedstawieniach sztuk Bernarda Shaw; do trudnej formy jego utworów, do *farsy filozoficznej* warszawskie teatry przystępują na ogół z należytym wyczuciem proporcji, tak że ani farsie ani filozofii krzywda się nie dzieje.

Niedawno wystawiły Miejskie Teatry Dramatyczne „Żołnierza i bohatera"; szczególnie druga „redakcja" przedstawienia, ze *Stanisławem Jaśkiewiczem* w roli Szwajcara, była wzorowym pokazem tej sztuki. Obecnie te same teatry grają pierwszą komedię Shawa, „Szczygli Zaułek".

Utworzyła się w pewnych kołach fałszywa legenda, że Shaw nie umie budować dramatu; że daje dowcipne i pełne paradoksów dyskusje, które zręcznie maskują brak akcji i niedołęstwo formy. Shaw co prawda z sztuki na sztukę coraz bardziej rezygnował z solidnej tradycji dramatycznej, ale wpierw wykazał się, że panuje nad nią doskonale, nawet już w „Szczyglim Zaułku". Pierwszy akt jeszcze nieco wiotki; dla dwóch scen (sceny miłosnej i sceny pisania listu) musi roztoczyć machinę całego aktu. Ale dwa następne skonstruował bez skazy.

Nie ma w tej sztuce prawie żadnych ozdób w postaci dowcipów, sentencji i paradoksów; bo autor nie chce osłabić brutalności ciosu i siły oskarżenia.

„Szczygli Zaułek" przypomina graciarnię pełną zmurszałych mebli z błyszczącym fornirem; wystarczy lekkie uderzenie, a fornir odpada i zaczyna się sypać próchno. Tyle mówi się o dobrych manierach, o dżentelmeństwie panów Sartoriusa, Kokena i dra Trencza, i o tym, że panna Blanka jest „światową damą". Tymczasem — jedno krótkie spięcie i wytworne towarzystwo negliżuje się: Sartorius jest obłudnym wyzyskiwaczem i lotrem; dr Trencz takim samym, choć jeszcze w pierwszym stadium rozwoju; Koken rajfurem nędzy ludzkiej; nawet męczennik Syroliz z drobnego zaganiacza ewoluje na wielkiego klusownika; a panna Blanka jest po prostu świnią i sadystką, wyrywającą pokojówce włosy. Cała ta banda, taka układna i subtelna w akcie pierwszym, przez dwa następne skacze sobie do oczu, demaskuje się wzajemnie i szantażuje, wymyśla sobie od ostatnich — by się wreszcie pogodzić, wzmocnić spółkę dla eksploatacji biedaków, mieszkających w ruderach pana Sartoriusa, i odprawić nabożeństwo z workiem szterlingów. Nie grozi im żadna kara, żaden skandal, żadna hańba. Są przepisowymi obywatelami. Przeżyli sztukę Bernarda Shaw, przeżyją i jej autora.

*

Blanka Sartorius (przed wojną wielka rola Niny Andrycz) w interpretacji *Haliny Jasnorzewskiej* doskonała. Już w scenach „wytwornych" czuło się, co tkwi pod mahoniowym fornirem, tak że ordynarny wybuch w akcie drugim nie jest dla nas niespodzianką; obie warstwy roli przylegały do siebie szczelnie.

Jerzy Michalewicz (dr Trencz) ma chwilami rodzaj komizmu nie przewidziany przez autora. Kokena wyobrażam sobie bardziej flegmatycznego; *Janusz Dziewoński* nie wyzyskuje dostatecznie efektu kontrastowania solennego jak guwernantka Kokena z ruchliwym Trenczem. *Józef Klejer* skojarzył zręcznie obie inkarnacje Syroliza.

Sartoriusa gra jubilat *JAN KOCHANOWICZ.* Gra go bardzo dyskretnie. Bo słowa i czyny Sartoriusa nie wymagają szarży. Obleśna maska, spokojna, chwilami z lekka wykrzywiona tragizmem, rezygnacją człowieka niedocenionego przez najbliższych, maska „męczennika kapitalizmu", maska człowieka, który po kilkunastu latach treningu wmówił sobie czyste sumienie; ekonomia gestów,

Halina Jasnorzewska (Blanka) i Jerzy Michalewicz (dr Trencz)

którymi ten nowy dżentelmen boi się szafować wobec dżentelmenów starszej daty; ciepły głos, wystudiowany na kazaniach anglikańskich pastorów; a równocześnie owa pewność siebie, którą daje święta wiara, że sute konto w banku potrafi zażegnać wszelkie komplikacje — oto trafnie podpatrzony przez Kochanowicza Sartorius.

Jubileusz tego artysty wychodzi poza ramy teatru. Gdy Kochanowicz po rewolucji w r. 1905, w której brał czynny udział, musiał opuścić kraj, udał się do Stanów Zjednoczonych — i tam wraz z J. Szymańskim i J. Czakim założył objazdowy Uniwersytet Robotniczy dla polskich wychodźców; prowadzi na tym uniwersytecie seminaria z dziedziny historii, socjologii i biologii; przez kilka lat jest współredaktorem lewicowego „Dziennika Ludowego" w Chicago i działaczem towarzystwa „Nowe Życie". Więc w dniu jubileuszu Kochanowicza uczczono nie tylko zasługi aktora, reżysera, pedagoga i teatrologa (autora dwóch dzieł o teatrze), — ale słusznie przypomniano sobie również i tamtą jego pracę, której poświęcił się przed wstąpieniem na scenę.

*

P. S. — Uwaga pod adresem rekwizytora: „bedekery" mają zawsze, odkąd istnieją, sztywne czerwone okładki! To, co ma w ręku dr Trencz, jest pewnie prospektem Ustki, — wypożyczonym z „Orbisu"...

Artur Marya Swinarski

Wystawa plastyków-amatorów

Refleksje

W salach Muzeum zagościła wystawa, odbiegająca mocno od typu pokazów, z którym kojarzy nam się zazwyczaj nazwa „wystawa sztuki". Pomimo niewątpliwej wagi oraz wartości zagadnień plastycznych tej wystawy wydaje się, że doniosłość jej polega nie tyle na doborze eksponatów, co na samej możliwości zorganizowania podobnej imprezy na tak wielką skalę, zebraniu tak obfitego materiału, i na niejako przełomowej roli tego ciekawego pokazu. Bukiet kwiatów, lub pokazane na wystawie pejzaże Ociepki, mają wymowę radosnej aprobaty nie przez swą bardziej czy mniej doniosłą tematykę, lecz już przez fakt swego istnienia. Dotychczasowe dorywcze wystawy prac członków poszczególnych związków zawodowych (np. niedawna wystawa prac pocztowców), nie pozwalały dostatecznie ocenić częstości, ba, masowości porywów twórczych świata pracy, który plastycy zwykli uważać — jedynie za dosyć biernego odbiorcę. Działalność CKZZ wydała tu piękny plon. Nasuwa się nieodparcie myśl, że społeczeństwo powinno mieć możność stałego informowania się o stanie dziedziny tak żywej i świeżej, jak sztuka „samouków". Jedynym bodaj sposobem byłoby jak najszybsze stworzenie osobnego lokalu wystawowego, dokąd związki zawodowe mogłyby nadsyłać nowe prace i gdzie odbywałaby się nieustanna, zmieniająca się w miarę napływu prac wystawa. Doskonalące się młode talenty dojrzewałyby w ten sposób niejako w oczach społeczeństwa, a byłaby to wielka radość widzieć postęp, śledząc zarazem linię rozwojową.

Masowy ruch na jakimkolwiek polu musi stanowić odskocznię oraz pożywkę dla wybitnie uzdolnionych. Wielką przeto zasługą CKZZ jest wzięcie na się ambitnej roli „szkoły wychowania nowego człowieka", o czym mówi się w katalogu. Szkoła ta zresztą — w zastosowaniu do domorosłych plastyków — nie musi bynajmniej uczyć pokonywania trudności technicznych, gdyż nie technika różni często amatorów od zawodowców. Największą różnicę stanowi raczej brak umiejętności widzenia, brak krytycyzmu, stwarzający właśnie kiczowatość. Na czym polegałaby więc opieka nad amatorami, którzy przecież traktują przeważnie swe prace jako wypowiedzi w bardzo nieraz doniosłych sprawach, jak o tym świadczy lwia część ich rzeźb i obrazów. Regularne nauczanie absorbuje tak silnie, że musi w rezultacie prowadzić do częściowego, a nawet zupełnego oderwania od pracy rzesz ludzi, nie mających bynajmniej zamiaru porzucać swych zawodów. Nie ulega jednak wątpliwości, że w poszukiwaniu wskazówek malarskiego patrzenia na świat, zwracają się amatorzy często po wzory. Wystawa dowiodła, jak olbrzymią rolę w twórczości samouków odgrywa kopiowanie. Powracam tu raz jeszcze do palącego tematu, — do roli dobrej i dostępnej reprodukcji. Nieocenionym darem dla każdego amatora byłyby poprawne reprodukcje najwybitniejszych dzieł sztuki, które powinny i muszą znaleźć się w każdej świetlicy. W Związku Radzieckim wiele się w tym kierunku robi (np. rozprzestrzenianie reprodukcji Tretjakowskiej Galerii), i akcja ta zaczyna już dawać rezultaty. Widok dwóch robotników, pokazujących sobie z zapałem szczegóły kompozycji de la Toura, na przywiezionej reprodukcji, wydałby się naszemu sceptykowi czymś wręcz nierzeczywistym. A przecież KCZZ miałby niezmiernie wdzięczne zadanie, dostarczając świetlicom reprodukcyj w postaci chociażby dobrych pocztówek. Ostatnio — po raz pierwszy od wojny — wyszły w druku pocztówkowe reprodukcje na wysokim poziomie, wydane przez Mortkowicza w Krakowie. To kropla w morzu, kiedy zdać sobie sprawę, że należałoby obesłać tysiące nowopowstałych i powstających wciąż świetlic, by sprostać olbrzymim zapotrzebowaniom.

Nie można traktować jednakowo twórczości plastyka, będącej zarazem jego pracą zawodową — i — poza wypadkami, gdzie mamy do czynienia z wybitnym talentem — prac amatorów, wykonywanych dosłownie w wolnych chwilach. Wymagania takie krzywdziłyby zarówno jednych, jak drugich. A wielu krytyków skłania się do tego.

Wystawa obecna obejmuje ponad pięćset eksponatów, wykonanych najróżnorodniejszymi technikami i w różnych materiałach. Ogólny poziom wystawy nie istnieje właściwie, tak wielka jest rozpiętość wartości artystycznej. Bardzo ciekawe i zbliżające się często do dobrego prymitywu prace sąsiadują z poprawnymi, na których znać już studia. Katalog, podający przy nazwiskach autorów ich wiek, zawód i przynależność do organizacji, jest w zestawieniu z pracami wręcz pasjonującą lekturą. Tematycznie dzieli się wystawa na dwie zasadnicze grupy: praca i pejzaż. Bezpośredniość i wielosłowność obserwacji składa się w większości tych prac na bardzo interesującą całość.

Anna Z. Linke

FRASZKI

POLSKI G. B. S.

Żeś kilka brecht wśród bólów zrodzić zdołał
Już się uważasz za polskiego Shawa
I są, przyznaje. po temu powody:
Shaw i Twój dowcip mają siwe brody.

O LITERATURZE

Może być odżywcza niczym wino
I może być cierpka jak ocet
A stąd takie oto wnioski płyną:
LITERAT DOCET
LITERAT NOCET.

Antoni Marianowicz

O PEWNYCH INTELEKTUALISTACH

Że robotników ręce ich żywią, to mało
bo jeszcze deser jedzą z ręki kapitału!

Stanisław Jerzy Lec

Z TEATRU W ŚWIDNICY

Państwowy Teatr w Świdnicy gra obecnie „WIECZÓR TRZECH KRÓLI" Szekspira (zdjęcie na lewo: T. Czechowski) i „LEKKOMYŚLNĄ SIOSTRĘ" Perzyńskiego (zdjęcie na prawo: I. Skubniewska i J. Pieracki). Świdnicki teatr rozpoczyna wymiany przedstawień z teatrem w Trutnovie (Czechosłowacja), podobnie jak to czyni od dłuższego czasu teatr w Bielsku z teatrem w czeskim Cieszynie.

W poprzednim 20 (233) numerze „Odrodzenia": Z frontu walki o pokój: **Czesław Miłosz:** Przekłady z poezji murzyńskiej:: **Nicolás Guillém** (Kuba): Nie wiem żołnierzu (z hiszpańskiego); **Owen Dodson** (USA): Decyzja (z angielskiego). — **Edmund Gonczarski:** Gramy w klasy; Defilada sukien .— **Stefan Dębski:** Od Wrocławia do Pragi. — **Stanisław Lorentz:** Kongres Obrońców Pokoju w Pradze. — **Czesław Miłosz:** Przekłady z poezji murzyńskiej: **Margaret Walker** (USA): Dla mego ludu; **K. E. Ingram** (Jamajka): Jaszczurka (z angielskiego); **Helene Johson** (USA): Megalu (z angielskiego); **Luis Palés Matos** (Puerto Rico): Niżnigo w niebie (z hiszpańskiego); **Bruce McM Wright (USA):** Doświadczenie (z angielskiego): **Jacques Roumain** (Haiti): Gwinea (z francuskiego); **George Campbell** (Jamajka): Litania (z angielskiego) **H. D. Carberry** (Jamajka): Powrót (z angielskiego): — Notatki wrocławskie: **Anna Kowalska:** Egzystencjalista; Kukułka. — **Zygmunt Kałużyński;** Drobiazgi francuskie. —**Jurij Tynianow** (przełożyli **Ziemowit Fedecki** i **Tadeusz Mongird)** Podporucznik Kiże. — **Edmund Osmańczyk;** Goethe schodzi z Olimpu. — **Tomasz Mann** (przełożył **Artur Sandauer):** Z „doktora Fausta". — Film: **Tadeusz Konwicki:** Ludzie, którzy dali przykład; **Leon Bukowiecki:** Pogranicze prawdy i fikcji. —Teatr: **Artur Marya Swinarski:** „Noce narodowe"; **Edward Csato:** Romantyczność i realizm. — Tydzień bibliograficzny. — **Franciszek Sedlaczek:** Polski plakat w oczach plastyków czechosłowackich. — **Annan Z. Linke:** Wystawa współczesnej karykatury. — Camera obscura. — 34 ilustracje. — 8 stron.

CAMERA OBSCURA

CO TYDZIEŃ NAGRODA 2000 ZŁ

Zwracamy się do czytelników „Odrodzenia" z prośbą o współpracę w dziale „Camera obscura". Prosimy o przysyłanie dzienników, czasopism, broszur, ulotek i innych wydawnictw, z ustępami kwalifikującymi się do „Camera obscura" pod adresem: Redakcja „Odrodzenia", Warszawa, Daszyńskiego 16, dział „Camera obscura". Ustęp taki należy wyraźnie oznaczyć, najlepiej kolorowym ołówkiem. Komentarze nie są potrzebne. Do przesyłki należy dołączyć imię, nazwisko i adres wysyłającego. Redakcja nie zwraca nadesłanego materiału i zastrzega sobie prawo wyzyskania go w dziale „Camera obscura". Za najlepszą rzecz danego tygodnia redakcja przeznacza nagrodę w wysokości 2000 zł, która ma prawo dzielić lub w razie braku odpowiedniej kandydatury, przełożyć na następny tydzień.

Nagrodę zł 2000 w ubiegłym tygodniu otrzymał ob. Roman Zagórski, Warszawa, Plac Dąbrowskiego 4 m. 18 za pocztówkę z wierszykiem, opatrzoną znakiem drukarskim „M-46500".

Zawiasy kolan

Tocząca się obecnie bitwa o realizm w malarstwie przypomina prawdziwą bitwę. Oprócz stron walczących, do żywego zainteresowanych i zaangażowanych w zwycięstwo takiego czy innego poglądu na sztukę — widzimy gromady sępów i hien, unoszących się nad i krążących wokół — pola bitwy. Nie wierzymy sępom. Jesteśmy przekonani, że z równą zaciekłością dopadną każdego pokonanego, bez względu na jego poglądy. Sępom i hienom obojętny jest los batalii. Chodzi o ilość „trupa".

W toczącej się bitwie, szala zwycięstwa zdaje się przechylać na stronę realizmu. Wcześniej od walczących widzą to kibice i by jutro zasiąść do podziału łupów, stają już dzisiaj za plecami wygrywających. Kibice stają zawsze za plecami wygrywających. A widzą wcześniej i lepiej, niż strony walczące, bo w odróżnieniu od walczących, nie wierzą w nic. Żadna chęć nie umniejsza obiektywizmu ich patrzenia. Jedyna chęć, to — znaleźć się w obozie zwycięzców.

Przypomina się historia z Talleyrandem, w którego pałacu zebrała się w czasie rewolucji garstka wystraszonych arystokratów. Słysząc na ulicy okrzyki „zwycięstwo" Talleyrand wyjrzał oknem, po czym z radością zakomunikował zebranym: „Zwyciężyliśmy!" — Kto? — zapytano w salonie. — To okaże się jutro! — odparł Talleyrand.

Jutro, to jest nazajutrz po zwycięstwie, kibice z równą zaciekłością — rozrywają serca pobitych i... włażą w tyłki zwycięzców. Hamlet określa taką działalność jednym nieśmiertelnym zdaniem: „Niech się zawiasy kolan uginają tam, gdzie pochlebstwo szuka zysku". Bitwa o realizm w malarstwie toczy się jeszcze, a już daje się słyszeć w naszych uszach skrzypienie zawiasów...

Oto słusznie — nieznany malarz, podpisujący się „ab" i słusznie — nieznany poeta, nie podpisujący się wcale, zaatakowali... Picassa.

W świecie całym jesteś znany
z sztuki nieco... podkasanej,
Two; futuryzm czy montera
formę „bioika" już przybierał

Chrońmy sztukę przed ludźmi, których serca nie krwawią o nic, a ręce biorą — za wszystko...

Pytanie

W „Szpilkach" pojawiła się fraszka W. L. Brudzińskiego pt. „Pytanie":

Czy dolar zwycięży? Któż
przyszłość odczyta.
Fakt, że każda moneta zwykle
bywa bita.

Fraszka jest zadedykowana St. J. Lecowi. Wszystkim, z których nikomu nie przychodzi na myśl zaprzeczać Brudzińskiemu rzetelnego talentu, nasuwa się pytanie: Dlaczego Brudziński właśnie Leca pyta o przyszły kurs dolara? Do redakcji napływają tłumami „koniki" z rogu Marszałkowskiej i Alej z prośbą o adres Leca, ponieważ nie wiedzą, czy sprzedać, czy kupić...

A może chciał Brudziński uczcić w ten sposób Leca, jako autora najkrótszych i najbardziej lapidarnych fraszek, np. „O diecie lekarskiej" — „Każdy kęs ma swój sens". We fraszce, jak w diecie lekarskiej, każdy kęs musi mieć swój sens.

Zakratowana

W czasie, gdy dokonuje się na odcinku oświecenia wsi POCZĄTEK wielkiego dzieła, nieznane siły zasypują wieś anonimowymi drukami i książeczkami, głoszącymi KONIEC.

„Posłuchajcie chrześcijanie, co się to
też z wami stanie,
Gdy nastaną ciężkie lata, to nadejdzie
koniec świata,
Jak nadejdzie koniec świata, powstanie naród złośliwy
Będzie płacz i narzekanie i wiernych prześladowanie.
Powstaną na świecie wojny, naród
będzie niespokojny..."

Oprócz politycznych wskazówek na najbliższą przyszłość, dostarcza to samo anonimowe wydawnictwo, opatrzone znakiem drukarskim: „L. 010755" swoim „chrześcijanom" literatury pięknej:

STRASZNA ZEMSTA WZGARDZONEJ DZIEWCZYNY

Ach jakaś smutno godzino, o której na
świat przybyłam
I matko ty nieszczęśliwa, coś mnie na
świat urodziła
Dziś płaczesz łzami rzewnemi, za córkę
swą ukochaną
A ja nikczemna zbrodniarka, jestem
znów zakratowaną.
Więc kto chce dalej posłuchać pioseki
te smutne tony
Co to z kochania wychodzi i o dziewczynie wzgardzonej
Która kochała młodziana, sercem mu
oddana była
I zawsze z nim w samotności o przyszłym szczęściu marzyła.
Wieczorną porą dość często, oboje się
spotkali
On jej swą wierność przysięgał, o ślubie
się umawiali
Wierność jej swą przysięgał, lecz słowa
były fałszywe
Bo każdy chłopiec przysięga, który chce
uwieść dziewczynę.
Więc młodzian, co przez którego, tragedia zbrodni się stała
Uwodzi to młode dziewczę, która go
szczerze kochała
Na miejscu, które już było ich ulubionym spotkaniem
Dziewczę stanęło z tęsknotą i czeka
za ukochanym.
Lecz próżne było czekanie, daremne
było marzenie
Gdy młodzian już ją porzucił, uwiódł
drugą dziewczynę
Więc gdy się to dowiedziała, że pozostała wzgardzona
Że on już do drugiej chodzi, a ona
jest porzucona.
Przeboleć tego nie mogła, bo go nad
życie kochała
I że już do niej wróci, więc zemstę
uplanowała
Raz gdy się z drugą przechodził ona
to zauważyła
Prędko do domu pobiegła, rewolwer
w kieszeń włożyła.
Zaraz za nim w oddali w ukryciu sobie
stanęła
Chcąc straszną zemstę wykonać rewolwer do ręki wzięła
Rozpaczą, szałem przejęta, prędko się
do nich zbliżyła
drżącą ręką do niego, trzy strzały
wprost wystrzeliła.
Ależ daremna to zemsta, wzgardzonej
dziewczyny była
Bo zamiast uwodziciela, to swą rywalkę
zabiła.
Huk strzałów rozległ się echem, ludzi
się dużo zebrało
Patrzą: zabita dziewczyna, nie wiedzą
co się stało.
Zaraz policji znać dali, policja wszystko
wykryła.
Zbrodniarkę za kraty wzięli, niewinną
mogiła skryła.
A gdy na sali sądowej, sprawa się jej
rozpoczęła
Sędzia jej mówi, ach dziewczę, cóżeś
dobrego zrobiła.
Zgładziłaś duszę ze świata, która nie
winną nie była
Teraz mi się tu wytłomacz, dlaczegoś
to uczyniła
Ach proszę sądu przysięgam, że ją zabić nie chciałam
Lecz tylko uwodziciela, którego szczerze
kochałam.
A on mnie uwodził nikczemnie, uciążał
mówił, że mnie poślubi
Później mnie biedną porzucił, a poszedł
do drugiej.
Więc zboleć nie mogłam i jego zastrzelić chciałam
A przez omyłność niewinnie, życie ja
jej odebrałam.

„Straszne zemsty" są ulubionym tematem tej brukowej, a raczej rynsztokowej literatury. Najwidoczniej jest „półświatek" w literaturze, odpowiednikiem „końca świata" — w programie politycznym.

I dlatego, ponieważ wiemy na pewno, że programem politycznym „Słowa Polskiego", gazety wychodzącej we Wrocławiu, nie jest „koniec świata", protestujemy przeciwko zamieszczaniu w tym piśmie „literatury" „półświatka". Na przykład:

NIE POWTARZAJ NIKOMU

Pan Tymoteusz Kozdrubski postanowił się przewietrzyć. W tym celu wczesnym rankiem wyjechał do Świdnicy i tu pod laskiem rozebrawszy się do koszuli i oddawszy się laskotkom letnich podmuchów wiatru, wkrótce zasnął.

Przechodziły właśnie 3 niewiasty i ujrzały go leżącego z koszulą, zakrywającą twarz (owe wiosenne podmuchy).

— To nie jest mój mąż — odezwała się jedna.

— To nie jest mój kochanek — odezwała się druga.

— To w ogóle nie jest nikt ze Świdnicy — stwierdziła trzecia.

Redaktor Naczelny: JERZY BOREJSZA Adres redakcji: Warszawa, ul. Daszyńskiego nr 16, tel. 80-664 i 40-180 wewn 22 — Redakcja przyjmuje od g. 11 do 13. Adres administracji: Warszawa, ul. Daszyńskiego nr 12, tel. 810-25
Drukarnia nr 2 „Czytelnik", Marszałkowska 3/5. Prenumerata miesięczna 100 zł, kwartalna 300 zł — Konto w PKO — I. 4739 B-77026 Wydawca: Spółdzielnia Wydawniczo-Oświatowa „Czytelnik"